Nr. 43

CENA 30 GR.

ROK 1

STER

TYGODNI[illegible]OWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Biblioteka Kraków

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11—14.

Rękopisów nie zwraca się.

Treść numeru:

K. — Min. Delbos w Warszawie
OUTSIDER — Lord Flegma ma czas
A. GOLDSCHMIDT — Nowi Wikingowie
J. MAJUS — Czy współpraca krajów anglosaskich
DR. MAYER EBNER — Stronnictwa antysemickie w Rumunii
LEOPOLD HALPERN — To jest chwila Samsona...
PROF. DR. HUGO BERGMANN — „Jak wszystkie narody" — czy też?
J. BLEIBERG — I. Manger — poeta flokloru i groteski
MAURYCY SZYMEL — „Tańcowała igła z nitką"
LEON BAUMBERG — Jerzego Hulewicza powieść „nijaka"
OLGA WOŁKOWICZ — Droga królewska
Wydarzenia i odgłosy. — Antena świata. — Kino.
STER MŁODYCH

5 grudnia 1937

WARSZAWA

1 tewet 5698

Min. Delbos w Warszawie

Jeden z dzienników paryskich, pisząc o podróży min. Delbosa do Europy Środkowej, przewiduje, że w Warszawie Minister Spraw Zagranicznych Francji będzie miał osobiście bardzo ciepłe przyjęcie, natomiast w Pradze, Bukareszcie i Białogrodzie zacieśni więzi przyjaźni między Francją a państwami Małej Ententy.

Rozgraniczenie to musi w Polsce dotknąć niemile każdego, ktoby pragnął, by stosunki polsko - francuskie oparte były na kordialnej harmonii i ścisłej współpracy, — zaboli ono tym bardziej, że nie jest pozbawione podstaw. Polityka zagraniczna Rządu Polskiego ostatnich lat pięciu dostarczyła niemało dowodów, że sojusz z Francją przestał być pierwszym pośród czynników, określających bieg i kierunek tej polityki — zwłaszcza od czasu, gdy zawarty został t. zw. pakt o nieagresji między Polską a Niemcami. Co więcej: nowe współczynniki, które na politykę zewnętrzną Polski ostatnio wpływają, formułowane są tak ogólnikowo i mglisto, że w rezultacie całokształt jej jest dla większości społeczeństwa niejasny i niezrozumiały.

Ta sama większość społeczeństwa nie widzi np. żadnej sprzeczności między główną zasadą ul. Wierzbowej, głoszoną przy każdej sposobności jako wyznanie wiary naszego M. S. Z., mianowicie, między zasadą niezależności polityki polskiej a zasadą ścisłej i harmonijnej kolaboracji z Francją. Owszem, każda inna polityka zewnętrzna Polski wydaje się kłócić z zasadą prawdziwej niezależności. Sojusz Polski i Francji odpowiada bowiem najżywotniejszym interesom polskim, nie mniej niż sympatiom i uczuciom najszerszych warstw społeczeństwa polskiego.

Polska należy do rzędu państw, które bezwzględnie pragną pokoju i przeciwne są wszelkim planom rewizjonistycznym. Francja obok Anglii i Stanów Zjednoczonych jest ostoją pokoju światowego, ona przewodzi państwom antyrewizjonistycznym na kontynencie europejskim. Oto pierwsza trwała podstawa dla polsko - francuskiego współdziałania.

Polska musi myśleć nie tylko o pokoju, ale i o swoim bezpieczeństwie na wypadek wojny. Ziemie polskie zagrożone są właściwie tylko ze strony jednego sąsiada, jeśli roszczeń litewskich do Wilna jako nierealnych w rachubę brać nie będziemy. Z tym zastrzeżeniem Niemcy są jedynym pośród państw ościennych Polski, które dążą świadomie, otwarcie i uporczywie do rozszerzenia swych granic, do powiększenia swego terytorium. Bezpieczeństwo Polski jest w praktyce równoznaczne z zabezpieczeniem granicy zachodniej, to zaś zabezpieczenie polityka realna i niezależna osiągnąć może jedynie przez objęcie Rzeszy kleszczami sojuszu polsko - francuskiego.

Dla żywiołów demokratycznych w Polsce istnieje jeszcze jeden tytuł do przyjaźni z Francją. Francja jest mianowicie twierdzą demokracji i opoką, która broni Europy przed zalewem zarazy faszystowskiej.

Naszym zdaniem faszyzm prowadzi w polityce zewnętrznej do wojny, i dlatego walka z faszyzmem i zwycięstwo demokracji leżą w interesie bezpieczeństwa Polski. Ale gotowiśmy z tego argumentu zrezygnować, bo i poprzednie dwa, pozbawione doszczętnie motywów subiektywnych i ideowych, najzupełniej wystarczają, by wytłumaczyć, dlaczego min. Delbos, niezależnie od urzędowych przyjęć i kurtuazji, witany będzie w Warszawie przez stu-tysięczne tłumy serdecznie, gorąco, po bratersku.

K.

OKNO NA ŚWIAT

LORD FLEGMA MA CZAS

BURZA NADCIĄGA.

Kiedyż to było? Kilka dni temu, gdy Lord Halifax, zwany Lordem Flegma zwiedzał wystawę łowiecką w Berlinie? A może to przeszło dwadzieścia pięć lat upłynęło od chwili, gdy Lloyd George, naonczas Kanclerz Skarbu zwiedził Berlin, by naradzać się z kierowniczymi mężami stanu Niemiec?...

Oto odwracamy karty książki Lloyd George'a: „Wspomnienia Wojenne", która ukazała się obecnie w świetnym polskim przekładzie.*) Oto czytamy raport hrabiego Mettoernicha, ambasadora Niemiec w Londynie po rozmowie z ministrem angielskim.

„Gdy wyraziłem ubolewanie, że polityka angielska jest zdaje się gotowa opłacić przyjaźń z Francją wrogością Niemiec i że polityka Ententy wywołuje uczucie niepewności w Europie, sir Edward Grey oświadczył mniej więcej co następuje: W ciągu ostatnich dziesięciu lat Anglia kilka razy omal nie została wciągnięta w komplikacje natury wojennej z Francją i Rosją. Gdyby nie osiągnięto przyjacielskiego porozumienia, to napewno doszło by już do wojny. Istnieje porozumienie tylko z Fancją. „Jeszcze" nie z Rosją. W przeciwieństwie do tego Niemcy posiadają swoje trójprzymierze. Jest rzeczą niepojętą, jak w tych okolicznościach można mówić o polityce izolowania Niemiec."

Lloyd George dodał w tym miejscu, że „przyczyną wzburzenia w Niemczech jest prawdopodobnie dyplomatyczne poparcie Francji przez Anglię."

Odwracamy karty pamiętników i czytamy dalej:

„Wasza Wysokość wie, że przez długi czas rząd angielski żywił życzenie dojścia z nami do porozumienia w sprawie wydatków morskich. Przed i podczas konferencji haskiej zrobiono w tym kierunku poronioną próbę. Jeżeli jestem dobrze poinformowany, to powstały już u nas obawy, że rząd angielski mógłby bądź sam bądź wraz z innymi rządami zwrócić się do nas z oficjalną propozycją ograniczenia naszego programu morskiego i że mogłoby stąd wyniknąć bezpośrednie niebezpieczeństwo wojenne. Mocno wierzę, że rząd obecny daleko jest od tego, by w drodze jakiegokolwiek ultimatum postawić nas przed wyborem: ustąpić czy zdecydować się na wojnę? Nie ma on zamiaru stawiać nam tego rodzaju pytań, będących pogróżką. Pragnie raczej zapobiec późniejszym możliwościom wojny przez zawarte z nami na czas porozumienie. Jeżeli odrzucam czyjeś życzenie, to jeszcze nie muszę z tego powodu walczyć z nim natychmiast..."

Na marginesie tego raportu swego ambasadora zechciał Kaiser własnoręcznie napisać następujące słowa:

„Wcale tak nie myślę. Jeżeli Anglia pragnie wojny niech ją rozpocznie, już my jej za to damy".

Odwracamy dalej karty książki. Oto „nadciąga burza" — oto burza wybucha. Następny rozdział swoich pamiętników zatytułował Lloyd George:

„NIESPODZIEWANE POGRĄŻENIE SIĘ W ODMĘTACH WOJNY".

Zaprawdę, godne uwagi są te oto karty książki byłego premiera angielskiego. Oto zbiera się rada ministrów w przed dzień wybuchu wojny: nikt nie bierze na serio wieści o morderstwie w Sarajewie, nikt nie wierzy, że to może zakończyć się wielką rzezią światową. „Nikt nie pragnął wojny" — pisze Lloyd George. Czyżby naprawdę nikt? Zapewnia Lloyd George, że koła finansiery City nie pragnęły wojny, że w „sobotę gubernator Banku Angielskiego odbył ze mną — jako kanclerzem skarbu — konferencję, aby poinformować mnie z ramienia City londyńskiego, że interesy przemysłowe i finansowe City sprzeciwiają się stanowczo naszemu udziałowi w wojnie. W poniedziałek zupełna przemiana. Groźba najazdu na Belgię rozpłomieniła cały naród".

I Lloyd George przesuwa w swych pamiętnikach odpowiedzialność za wybuch wojny na ...ludność wielkich stolic.

„Nigdy nie zapomnę wojowniczych tłumów wypełniających Whitehall i zalewających Downing Street, w chwili gdy gabinet omawiał szanse pokoju i wojny. W niedzielę gromadziły się wielkie tłumy. W poniedziałek było święto i mnóstwo młodych ludzi stało pod Weastminsterem, demonstrując za wojną z Niemcami; słyszeliśmy pomruki tego tłumu z sali posiedzeń gabinetu".

Czyżby „naiwność" wielkiego męża stanu Anglii kazała mu pisać te słowa — czy też pogarda dla ...inteligencji czytelników? Czyżby ironia i sarkazm w stosunku do tych młodych ludzi, którzy na gwałt ponoć rwali się na front", podczas gdy „starzejący się politycy czynili nieudolnie wszystko by powstrzymać wojnę"? Boć obraz wybuchu wojny w opisie Lloyd George'a wygląda mniej mniej tak: Gabinet ministrów nie wie o tym, że za kilka dni rozpocznie się rzeź światowa. „Starsi mężowie stanu robili nieudolnie wszystko, co mogli, by zapobiec wojnie." Koła zainteresowane City nie życzą sobie wojny. Twierdzenia że kapitalizm pragnął wojny są, zdaniem George'a potworne. Któż parł do wojny? Zdaniem George'a jakieś tłumy młodzieży, która wywarła nacisk na rząd, zadecydowały o wybuchu wojny... Sancta sipmlicitas Lloyd George'a czy cynizm pozbawiony granic?

„Rankiem ministrowie obudzili się w nowej i niezwykłej dla siebie sytuacji. Dotąd mieliśmy do czynienia z Anglią i światem w stanie pokoju. Teraz stanęliśmy wobec problemów Europy, pogrążonej wraz z Anglią w odmęty wojny."

Pozostawmy na uboczu obronę sfer gospodarczych w pamiętnikach Lloyd Georgea, z uśmiechem pobłażania odłóżmy karty, gdy premier z okresu wojny pisze:

„Byłem kanclerzem skarbu i znałem dobrze sfery finansowe przed wojną; widziałem je nazajutrz po wybuchu wojny, żyłem z nimi w zażyłości przez długie dni i robiłem co mogłem, by wzmocnić ich samopoczucie, gdyż wiedziałem jak wiele zależy od odzyskania przez nas pewności siebie. I oświadczam, że sfery finansowe drżały z przerażenia. Pieniądz nie posiadał się ze strachu. Szaleństwem lub ignorancją jest nazywanie tej wojny wojną finansistów."

Jedno jest jednak prawdą w tym obrazie, odmalowanym przez Lloyd George'a: w Anglii nie decyduje tylko rząd Jego Królewskiej Mości a raczej sam nie decyduje. W Angli *XX*-go wieku powstała wielotorowość władzy: rząd czuwa nad wewnętrznymi sprawami, czuwa nad interesem wielkiej Brytanii. Czuwa ministerstwo wojny nad obroną kraju, działa w myśl swoich często „własnych" koncepcyj Intelligence Service jak również swój głos w wielu sprawach zabiera admiralicja, broniąca już nie tylko Wielkiej Brytanii, ale i całości imperium. Stąd często jedna instancja władzy w Anglii nie synchronizuje swych poczynań z inną instancją, stąd nieraz wielotorowość poczynań...

Innymi oczyma spogląda na świat Lord Admiralicji — innymi oczyma minister skarbu a nawet często minister spraw zagranicznych. Panowie politycy cywilni wrzucili do stylu tych poczynań flegmę angielską i powolność ludzi, którzy stanęli na szczycie zwycięstw i dla których rzeczą nie do pomyślenia jest, by Anglia straciła swe przodujące stanowisko. Wyrośli w tradycji epoki wiktoriańskiej przekonani są o tym, że ta epoka jeszcze nie minęła. Cóż więc dla nich znaczy takie lub inne powiedzenie totalnego męża stanu, cóż znaczą groźby i pogróżki psów rwących się ze smyczy wobec lwa brytyjskiego?...

Stąd panowie ze służby dyplomatycznej mają czas. Mieli czas w 1912 roku, gdy lord Haldan jeździł z polecenia Lorda Greya do Berlina — mają czas w 1937 roku, gdy Lord Halifax wyjechał do Berlina z polecenia Chamberlaina.

SPOKÓJ GODNY LEPSZEJ SPRAWY.

Odwracamy karty pamiętników Lloyd George'a — odwróciła się karta dziejów.

Miast Wilhelma II, który pragnął „nauczyć Anglików rozumu" władzę przejął nowy władca, niemniej gadatliwy, niemniej zarozumiały, niemniej pyszałkowaty. Niektórzy dyplomaci, którzy mieli przyjemność rozmawiania z tym nowym władcą, twierdzą, że gadatliwość jego nie pozwalała im często dojść do słowa. Obok niego, w nowym składzie sił europejskich, do wojny prze sojusznicze państwo, którego wódz jest niemniej gadatliwy, niemniej pyszałkowaty i niemniej zarozumiały. Jak wiadomo, różnica między pyszałkowatością a dumą jest taka sama, jak między fikcją siły a prawdziwą mocą.

Niektórzy mężowie stanu Anglii usiłują już od roku czynić wszystko, by dzieje powstrzymać w biegu: jeżdżą do Berlina, chcąc znaleźć jakikolwiek kompromis z nowymi władcami „nowego kraju". Dwa lata temu pojechał Eden i Simon, a po tym lord Lomdonderry i lord Lothian i w końcu wyśmiany Lansbury. Każdy z nich usiłował na swój sposób, swoimi środkami wymowy i perswazji odnaleźć wspólny język z berlińskimi mężami stanu. Każdy z nich powodował w prasie międzynarodowej cały potok pogłosek o izolacji Francji, o sojuszu angielsko - niemieckim, o nowym podziale Europy. Kaczki dziennikarskie wkrótce odpływały, nie zmieniając rozwoju wypadków.

Aż w końcu, w chwili, gdy sojusz berlińsko - rzymski jako też sojusz Londynu z Paryżem zostały przekształcone w system, w którym nie ma już żadnej szpary — udał się do Berlina Edward Frederik Lindley Wood, onże Lord Irvin, onże viscount Halifax. Udał się na wystawę łowiecką, w nadziei utajonej, że potrafi w rozmowie z Hitlerem upolować kompromis. Udał się w przekonaniu o swej przewadze arystokraty angielskiego nad arrywistą niemieckim. Podczas trzygodzinnej rozmowy zapewne na jego dolę wypadło mówić tylko piętnaście minut a wysłuchiwać w ciągu dwóch godzin i czterdziestu pięciu minut potoku wymowy swego partnera.

Lord Halifax posiadał jednak niezwykłe dane, by móc odnaleźć wspólny język z Hitlerem. Jak wiadomo, lewa jego ręka jest sparaliżowana. Wytworny konserwatysta potrafi ukryć swą ułomność w kunsztowny sposób: tym niemniej zapewne ta organiczna ułomność jest symbolem polityki konserwatystów angielskich. Teoretyczni przeciwnicy bloków ideowych widzą świat tylko z prawej strony i dla swej przyrodzonej ułomności wolą raczej odwracać się plecami do lewej strony świata, składając zarazem raz po raz hołd dla demokracji i haseł wolności.

Poza tym lord Halifax posiada jeszcze jedną zaletę, gdy mowa o jego kwalifikacjach do pertraktacyj w okresie nadciągającej burzy wojenej: wiek poborwy lorda Halifaxa już dawno minął. Tacy panowie mają uzasadnioną flegmę jeśli chodzi o sprawy, gdzie front w najbliższym czasie może już decydować. Front nie zmieni, a raczej w bardzo małym stopniu zmieni, tryb życia tych panów w cywilu.

W końcu dodajmy, że lord Flegma jest zapewne bardziej odporny od innych swych kolegów na wszelakiego rodzaju niespodzianki, jakie mogły go zastać w Berlinie: nie onże li pozostał spokojnie przy swym stole w pociągu restauracyjnym, gdy ten został wysadzony w powietrze? Nie onże li zdjął spokojnie frak i pozostał w samej koszuli do końca bankietu studenckiego, gdy kelner nieuważnie zalał go?

CZAS STRACONY.

Żarty na bok. W niektórych kołach polityków, wstydliwie uprawiających popieranie wszystkiego, co czynią w Berlinie i Rzymie podróż Lorda Flegmy urosła do rozmiarów wydarzenia o niezwykłym znaczeniu. Oto sojusz francusko - angielski został narażony na szwank. Oto jakiś trzeciorzędny publicysta w jakimś francuskim Pipidówku wyraził obawy, że ‚Anglia zdradza Francję" — a już czołowy publicysta w naszym organie stołecznym ma gotowy telefonogram o tym, że Francja jest zaniepokojona wizytą Halifaxa. Oto jakieś pismo hitlerowskie z histerycznym kociokwikiem powitało Halifaxa — a już wydawało się poniektórym, że to bieg wypadków został wytrącony z równowagi... Francja izolowana, Hitler wyrzeka się Hiszpanii, otrzymuje wolne ręce na Wschodzie Europy, Austria zostaje włączona do Rzeszy, zgadza się na rozbiór Czechosłowacji, Mussolini zaniepokojony szuka oparcia we Francji, jesteśmy w przede niu sojuszu włosko - francuskiego itak dalej, i tak dalej... Difficile est satiram non scribere.

Należałoby rozpocząć od kilku sprostowań. Nie jest prawdą, jakoby lord Halifax udał się do Berlina na wystawę łowiecką, ale przede wszystkim dla zbadania nastrojów berlińskich. Nie jest prawdą, jakoby taka wizyta mogła zmienić szereg układów zawartych w ostatnich czasach między Londynem i Paryżem, między Berlinem a Rzymem, natomiast prawdą jest, że wizyta berlińska już anulować tych układów nie jest w mocy. Nie jest prawdą, jakoby w odpowiedzi na wizytę Halifaxa Włochy zamierzały się zbliżyć do Francji, natomiast prawdą jest, że włoska „Tribuna" z artykułem, zawierającym łagodny ton wobec Francji została skonfiskowana. Nie jest prawdą, jakoby wizyta lorda Halifaxa wywołała niepokój we Francji, natomiast prawdą jest, że po wizycie berlińskiej udał się premier i minister spraw zagranicznych Francji do Londynu, gdzie stwierdzono, iż informacje zasięgnięte przez lorda Halifaxa w niczym układu sił ani w Europie środkowej, ani na Wschodzie, ani w sprawach kolonialnych nie są w stanie zmienić...

Te sprostowania są konieczne szczególnie w przede dniu wizyty ministra Delbosa w Polsce. Minister Delbos nie przyjeżdża bowiem jako przedstawiciel odosobnionej Francji, jak chcieliby niektórzy, ale przybywa jako rzecznik interesów bloku państw demokratycznych. O tym zapominać nie wolno. I nie wolno łudzić się nadzieją, że podróż Halifaxa w czymkolwiek sytuację Francji zmieniła.

Lord Halifax udał się do Berlina zapewne jako rzecznik tej grupy polityków angielskich, którzy pragnęliby odnaleźć za wszelką cenę kompromis z prącymi do wojny sferami rządzącymi Niemiec współczesnych. I tylko tyle. Zapewne żywił iluzje, że uda mu się dokonać wielu rzeczy: tak samo, jak żywili podobne nadzieje politycy angielscy, w tej liczbie Lloyd George w przede dniu wojny światowej. W chwili nadciągającej burzy widzieli jeszcze skrawek błękitu, zapatrzeni w niego nie chcieli dojrzeć burzy: aż przyszła chwila, gdy już „nie mogli postąpić inaczej."

Oto przypomnijmy dziś, po wizycie Halifaxa ową groźną scenę ostatniego posiedzenia rady ministrów Wielkiej Brytanii w chwili wybuchu wojny:

„Bum". Głębokie dźwięki Big Bena wydzwoniły w nocy pierwsze uderzenia najbardziej doniosłej godziny, jaką przeżyła Brytania od czasu, gdy podźwignęła się z otchłani dziejów. W pokoju zapadło naprężone milczenie. Każda twarz zakrzepła nagle w męczącym natężeniu. Wielki zegar walił w nasze uszy, jak młot przeznaczenia. Jakiego przeznaczenia. Któż mógł przewidzieć? Wyzwaliśmy największą potęgę militarną, jaką świat dotąd wydał. Francja sama jedna była zbyt słaba, by się z nią zmierzyć, a Rosja była źle zorganizowana, źle zaopatrzona, skorumpowana. Wiedzieliśmy na jakie ciosy będzie wystawiona Anglia. Czy je wytrzyma? W niczyim serce nie było ani wahania, ani wątpliwości. Lecz przyznajmy bez wstydu, że powiew grozy przyspieszał puls każdego z nas. Czy wiedzieliśmy, że zanim pokój zostanie odbudowany: Europa będzie musiała przeżyć cztery lata najbardziej straszliwej rzezi, kalectwa, cierpień, zniszczenia i dzikości, jakich kiedykolwiek zaznała ludzkość? Że dwadzieścia milionów walczącej młodzieży będzie zamordowane, a drugie dwadzieścia milionów okaleczone? Że Europa ugnie się pod ciężarem olbrzymich długów wojennych? Że tylko jedno imperium ostoi się przed ciosem? Że trzy inne cesarstwa światowe rozlecą się raz na zawsze? Że połowa Europy pogrąży się w głodzie, anarchii i rewolucji, a podobna groźba zawiśnie i nad pozostałą częścią europejskiego kontynentu?"

Tak oto rozmyślał Lloyd George wspominając obecnie chwilę wybuchu wojny w 1914 roku, która, jak twierdzi zaskoczyła go znienacka. Tę samą mentalność posiadają bez wątpienia politycy pokroju lorda Halifaxa, którzy nie widzą, jak dzień za dniem tracą czas, gdy bieg wypadków prowadzi ku katastrofie, której plasterki i przyjemne rozmówki nie powstrzymają, a jedynie powstrzymać może uderzenie pięścią w stół.

Ale lord Halifax nie uderzy pięścią w stół. To byłoby shoking. Lord Halifax jest spokojny, zrównoważony i flegmatyczny. Lord Flegma ma czas...

OUTSIDER.

---

1) Lloyd George — Wspomnienia Wojenne — Tom I w przekładzie Mieczysława Kwiatkowskiego i Antoniego Pańskiego — Rój — 1938 r.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Sejm, Ozon i ordynacja

Tegoroczna sesja parlamentu z września 1935 r. rozpoczyna się pod znakiem, może nie zbyt wielkiej, ale jakże wymownej, sensacji politycznej. Oto dziecię monopartyjno - „apolitycznych“ koncepcji pp. *Sławka, Cara* i *Kozłowskiego*, z takim trudem narodzone w pewien dżysty dzień wrześniowy, z taką pieczołowitością przez 2 lata hodowane i sztuczną odżywką wzmacniającą antysemityzmu pokrzepiane przez panie *Prysterowe* oraz panów *Budzyńskich, Dudzińskich i Bakonów* — zbuntowało się przeciw własnym ojcom chrzestnym!

Wbrew zasadzie „apartyjności“, która miała przyświecać ordynacji wyborczej z 1935 r., wbrew zdecydowanemu stanowisku obu marszałków izb obecnego parlamentu, z inicjatywy płk. *Koca* powstał parlamentarny klub Ozonu, zrzeszający podobno znakomitą większość obecnych parlamentarzystów. Będzie to klub zdyscyplinowany, solidarnie w zasadniczych sprawach występujący, a do tego wszystkiego kierowany faktycznie przez osobę, nie piastującą mandatu parlamentarnego, ale stojącą na czele organizacji politycznej o charakterze stronnictwa.

Tyle tegoroczne sensacja na ul. Wiejskiej. Społeczeństwo w swej ogromnej większości jeszcze od września 1935 r. wyrobiło sobie opinię o sławkowskim parlamencie i jego dotychczasowych „sensacyjnych“ posunięciach. Jeśli więc prasa poświęciła nieco więcej uwagi konfliktowi *Koc-Car*, to dlatego, że wypływa zeń wyraźny morał dla reprezentowanych przez tych „sanacyjnych“ polityków obu, obecnie skłóconych, odłamów „elity“ obozu rządzącego.

Morał dla grupy *Sławek-Car* da się streścić w prastarym powiedzeniu: „Kto mieczem wojuje ten od miecza ginie“. T. zw. pułkownicy, w sposób sztuczny chcieli utrwalić swoją hegemonię polityczną przy pomocy jednostronnego partyjnie parlamentu, a oto ta jednostronność została wyzyskana przez grupę konkurencyjną dla jej celów.

Ale najważniejszy jeszcze i pełen aktualności jest morał, wypływający dla grupy płk. *Koca*. Ozon, tworząc własny klub parlamentarny, stanął na gruncie partyjnego podziału parlamentu. Ale nie jest rzeczą trudną stworzyć klub polityczny w istniejącym już od dwóch lat i w szczególny sposób wybranym, parlamencie. Ambicją Ozonu winno być nie porzestawanie na owocach dawnej akcji grupy pułkownikowskiej, ale samodzielne zdobycie własnej reprezentacji parlamentarnej w demokratycznych i swobodnych wyborach. Stojąc na gruncie nadania politycznego charakteru parlamentowi, Ozon winien umożliwić także innym odłamom politycznym społeczeństwa utworzenie własnej reprezentacji w Sejmie i Senacie. Ponieważ zaś odłamy te. reprezentujące ogromne masy społeczeństwa, nie znajdują się w tym „szczęśliwym“ położeniu, by mogły oprzeć się na wybrańcach, którzy przeszli przez sito „zgromadzeń okręgowych“ z r. 1935, należy im umożliwić swobodny wybór własnej reprezentacji. Chyba, że Ozon chciałby powtórzyć błąd pułkowników i narazić się w przyszłości na te same konsekwencje, które ich dziś spotykają.

Z którejkolwiek i jakiejkolwiek strony podchodzimy do omawiania sposobu wyjścia z impasu, w którym polska polityka wewnętrzna znajduje się od szeregu lat, nasuwa się jedna droga i jedno wyjście: demokratyczne *wybory* — swobone *wybory* — uczciwe *wybory!*

Sejm adwokatury

Póki z demokratycznych, swobodnych i uczciwych wyborów nie wyszła jeszcze rzeczywista reprezentacja całego społeczeństwa, jego odłamów politycznych, socjalnych i narodowościowych, — swobodna gra sił społecznych rozgrywa się nie tyle w gmachu przy ul. Wiejskiej, ile raczej na różnych innych, przypadkowych i bocznych odcinkach życia zbiorowego.

Ostatnio jedna z takich rozgrywek miała miejsce w sejmie palestry — na walnym zebraniu członków Izby Adwokackiej warszawskiego okręgu apelacyjego. Polityczna linia podziału zarysowała się tu z całą wyrazistością: z jednej strony blok „sanacji“, endencji i ONR — z drugiej strony blok demokratów, socjalistów i Żydów. Blok pierwszy na zebraniu palestry powołanej do bezkompromisowego hołdowania prawu, poważył się wznieść wniosek, godzący w najbardziej podstawowe zasady obowiązującego prawa (wprowadzić ograniczenia dostępu do adwokatury dla obywateli polskich narodowości żydowskiej). Blok drugi stanął twardo na gruncie prawa, które głosi, że przynależność narodowościowa nie może służyć za powód ograniczania w prawach.

Nieraz podnosiliśmy, że w zasadniczych sprawach państwowych racja, którą my reprezentujemy, pokrywa się z racją Państwa, że walcząc o równe prawa dla wszystkich obywateli, spełniamy zarazem obowiązek w stosunku do Państwa, które byt swój, potęgę i istnienie opiera na przywiązaniu ogółu obywateli. Nie było więc przypadkiem, że w sejmie palestry warszawskiej w obronie praworządności i przeciw anarchizowaniu życia zbiorowego stanął właśnie przywódca żydowski, prezes Organizacji Syjonistycznej w Polsce i poseł do trzech, demokratycznie wybieranych Sejmów, *Apolinary Hartglas.*

W sejmie palestry zwyciężył blok demokratów, socjalistów i Żydów nad blokiem endeko - sanacji. Zwycięstwo to było przygniatające zarówno w kwestii wniosku o „numerus clausus“ w adwokaturze, jak i przy wyborach do instancji samorządu palestry.

Ale palestra polska rekrutuje się dotąd przeważnie z środowisk zachowawczych i klasowo - jednostronnych społeczeństwa polskiego. Warstwy ludowe i pracujące są w niej tylko w słabym stopniu reprezentowane. Jak wielkie więc byłoby zwycięstwo obozu demokracji, postępu i praworządności w wyborach powszechnych ogółu obywateli Państwa, w których o losach jego zadecydowałyby warstwy ludowe, pracujące i inteligenckie!

Akcja legitymacyjna na Kongres Żydowski w Polsce

Póki nie ma demokratycznych i swobodnych wyborów, także żydowska mniejszość narodowa w Polsce pozbawiona jest rzeczywistej reprezentacji parlamentarnej. W takiej sytuacji i w obliczu wspólnego nam wszystkim zadania walki o naszą obywatelską, narodową i ludzką pozycję w Państwie — demokratycznie wybrana przez ogół ludności żydowskiej reprezentacja narodowa jest koniecznością chwili.

Reprezentację tę wyłoni Kongres Samopomocy Żydowskiej w Polsce. Autorytet Kongresu i waga polityczna jego uchwał będą tym większe, im liczniej masy żydostwa polskiego, wszystkich warstw i kierunków politycznych pójdą do urny wyborczej. Prawo głosowania będzie przysługiwać każdemu Żydowi, który ukończył 18 lat życia i posiada legitymację wyborczą na Kongres.

Pragnąc umożliwić każdemu Żydowi i Żydówce udział w wyborach na Kongres Żydowski w Polsce, ustalono opłatę za legitymację w minimalnej wysokości 10 groszy.

Nadszedł najwyższy czas, aby od teoretycznych rozważań o konieczności powołania reprezentacji żydostwa polskiego przejść do jej rzeczywistego utworzenia. Droga do tego prowadzi przez akcję legitymacyjną na Kongres Żydowski. Hasłem tej akcji jest: „Każdy Żyd posiadaczem legitymacji kongresowej — każdy Żyd wyborcą na Kongres Żydowski w Polsce!“

Hasło to będzie urzeczywistnione — hasło to *musi* być urzeczywistnione!

Lord Robert Cecil — przyjaciel pokoju syjonizmu

(S. J. V.) *Lord Robert Cecil, Viscount of Chelwood*, obecny laureat nagrody pokojowej *Nobla*, oddał wielkie usługi sprawie syjonistycznej.

Kiedy dnia 24 kwietnia 1920 r., po długiej i ciężkiej walce, Deklaracja Balfoura weszła jako część składowa do traktatu pokojowego z Turcją, zawartego w San - Remo, to stało się to w dużej mierze dzięki stanowisku brytyjskiego komitetu parlamentarnego, utworzonego przez członków różnych partii Izby Gmin. Komitet ten poparł decydująco akcję polityczną Egzekutywy Syjonistycznej, kierowaną przez *Weizmanna i Sokołowa*. A trzeba pamiętać, że był to okres dla syjonizmu bardzo ciężki, zarówno w Londynie, jak i w Jerozolimie. W krytycznej chwili angielski komitet parlamentarny wysłał depeszę do San - Remo, w której udzielił całkowitego poparcia postulatom syjonistycznym. Telegram ten był podpisany przez majora *Ormsby - Gore'a*, obecnego ministra kolonii i lorda *Roberta Cecila*.

Także parę lat później, w czasie palestyńskiej debaty parlamentarnej, lord *Cecil*, wspólnie z płk. *Wedgewoodem* i mjr. *Ormsby-Gore* wystąpił z ostrą krytyką polityki ówczesnego Wysokiego Komisarza, sir *Herberta Samuela*, żądając polityki silnej ręki. Ówczesne wywody lorda *Cecila* i towarzyszy nie straciły aktualności na tle obecnej sytuacji w Palestynie.

Adolf Böhm, wybitny historyk ruchu syjonistycznego, podniósł, że nie jest przypadkiem, iż inicjatorzy i twórcy Ligi Narodów, *Wilson, Smuts* i *Robert Cecil* byli zarazem wielkimi przyjaciółmi syjonizmu. Potwierdza to nie tylko moralne podłoże naszych aspiracji, lecz zarazem starą prawdę, wypowiedzianą przez *Herzla*, że kwestia żydowska jest sprawą światową i może być rozwiązana tylko w ramach organizacji światowej i pod gwarancją międzynarodową.

Zdajemy sobie sprawę, że znajdujemy się obecnie w okresie, w którym obok słów ludzi tej miary co *Robert Cecil* — potrzebne są nam twórcze czyny. W tym sensie pacyfizmu wojującego syjoniści całego świata witają *Roberta Cecila of Chelwood.*

„VITA“—
mieszanka luksusowa —
jest odżywcza, smaczna, zdrowa
Polska Fabryka Cykorii „VITA“
poleca pierwszorzędnej jakości mieszanki kawowe, cykorię oraz kakao.
„VITA“
WARSZAWA, ŻELAZNA 69a.
Tel. 6.14-57.

Moc i niemoc mocarstw demokratycznych

Kiedy wicehrabia Halifax nazywał się jeszcze Lord Irwin i był wicekrólem Indii — zamieściła to ostatnio prasa niemeicka w swych sprawozdaniach — usiłowano kilkakroć dokonać zamachu na jego życie. W pobliżu Bombayu jego wagon salonowy miał się nawet wykoleić — ale Lord miał ze spokojem ducha zasiąść z powrotem do kolacji...

Tego męża, którego nic nie zdoła zastraszyć, Chamberlain posłał do Hitlera.On właśnie dokładnie odpowiada temu, co sobie kanclerz niemiecki wpierw wyobrażał o wielkim polityku angielskim. „Jakiż to błąd ze strony Anglii“ — pisał Kanclerz w „Mein Kampf“ (strona 158) — „że jest zbyt tchórzliwa, by dla polityki gospodarczej narażać swe życie!... W Niemczech jednakowoż przez szkołę, prasę i pisma humorystyczne o istocie narodu angielskiego, a więcej jeszcze jego państwa zaszczepiano pojęcia które musiały prowadzić do jak najdalej idących złudzeń... Zaszły też one tak daleko, że istniało przekonanie, iż Anglik jest wprost niewiorogodnie tchórzliwym handlowcem“. Ale i nacjonalistyczna prasa była od dłuższego czasu w błędzie, który Hitler gani. Teraz jednak przyszedł człowiek starej rasy brytyjskiej, stanowczy, przezorny, a przecież odważny; — a w dodatku jest on przyjacielem Niemiec — należałoby go uczcić w niezwykły sposób.

Była to wizyta bez blasku i przepychu. Parę godzin, małe przyjęcia, rozmowy w cztery oczy, ani razu żadna parada. Ledwie zapowiedziano Halifaxowi, żeby się znowu nie zraził nieznaczną kampanią prasową. Halifax pospieszył się, podróż została zapowiedziana, a wtedy ukazało się też kilka artykułów powitlanych. Prasa sama była jednak powściągliwa, ostatnie dni pobytu Lorda upłynęły bez fotoreportaży, pan von Neurath ani razu nie odprowadził gościa do pociągu, tylko Anglicy patrzyli za odjeżdżającym wagonem. Halifax bawił jeszcze w Berlinie, kiedy już „Völkischer Beobachter“ stwierdził, że „przez wizytę tę, która wypłynęła z inicjatywy angielskiej, żadnych bezpośrednio politycznych wyników zgoła osiągnąć się nie da. Nie, Neurath nie jedzie z rewizytą do Londynu, wyprasza się wszelkie „przedwczesne nadzieje!“

*

Oficjalne oświadczenia nie wiele zdradzają szczegółów; są jeszcze wiadomości, że mowa była o środkowej Europie, o Niemcach poza granicami Rzeszy i o koloniach. Co się zaś mówiło — łatwo można odgadnąć.

Konserwatyści angielscy nie są antyfaszystami. Nie z ich winy długoletnie przymierze z Włochami zostało zerwane. Jeszcze w lecie próbowali ugodzić się z Mussolinim. Ponieważ to jednak spełzło na niczym, chcą izolować Włochy. Wychodzą z założenia, że Hitler i Mussolini posiadają dziś tylko *jeden* obszar, na którym współdziałają: Hiszpanię. Porozumieli się więc z generałem Franco, którego chcą widzieć zwycięzcą, jeżeli opuści Mussoliniego i przejdzie na stronę Anglii. A wtedy Halifax pojechał do Bechtesgaden.

Co mu tam oświadczono, napisane jest w końcowym komunikacie „Völkischer Beobachter“:„Narodowo-socjalistyczna polityka zagraniczna jest w swej zasadniczej postawie bezsprzecznie prostolinijna“. Innymi słowy: Jeśliby się Anglia podjęła dostarczyć Trzeciej Rzeszy wszystkiego tego, o czym pisze Hitler w „Mein Kampf“ i do czego mu teraz posłużyć ma trójprzymierze antykomunistyczne, to możnaby było mówić o zmianie frontu. Z pewnością panowie z Wilhelmstrasse zamieniliby z chęcią przymierze niemiecko-włoskie na angielsko-niemieckie — ale tylko wtedy, gdyby zawierało tę samą treść, ten sam zaczepny charakter, te same cele. Anglia jest silniejsza od Włoch; ale przyjaźń angielska ograniczona do pomocy gospodarczej i do niczego nie zobowiązujących pogawędek o koloniach, stanowi mniej niż agresywne przymierze militarne z Mussolinim.

*

Wytworzyła się niebezpieczna sytuacja zewnętrzna. Mowa Roosevelta w Chicago wniosła ze sobą nowy optymizm; na chwilę państwa agresywne zamilkły, demokracja wykazała swą przewagę. Ale teraz znów Ameryka ma własne kłopoty. Koniunktura stała się niepewna i faszyzm szerzy się w łacińskiej Ameryce. Nie wystarczy to jednak, by wytłumaczyć odmowę delegacji amerykańskiej na konferencji w Brukseli. Żałosny upadek akcji ratowania Chin ma głębsze przyczyny: nie chce się Chinom pomóc.

Anglia, Stany Zjednoczone i Sowiety mają wspólny interes w tym, żeby Japonia nie urosła zbytnio w siłę. Żeby nie zagarnęła ogromnego państwa chińskiego i nie stała się przez to władczynią całej Azji. Ale tylko Sowiety nie mają nic przeciwko silnym, zjednoczonym, niezawisłym Chinom; mocarstwa zachodnie mało zyskałyby na tym, że Chińczycy wygnaliby z kraju Japończyków; po pewnym czasie znieśliby przywileje innych państw na swym terytorium.

Zachodnim mężom stanu coś innego się roi: Japonię może ta wojna osłabić, a Chiny mogą nie zwyciężyć. Podobnie jest z Hiszpanią: najprzyjemniejszą rzeczą, jaka może spotkać panów z londyńskiej City i nowojorskiej Wallstreet, byłaby porażka obu stronnictw. Wtedy chętnie przyjęliby jakąś misję ugruntowania pokoju i tak by wykierowali, żeby dobrze na tym wyjść. Nie można więc uważać, że konferencja brukselska nie osiągnęła żadnych wyników. Reprezentowane tam mocarstwa oświadczyły swą gotowość pośredniczenia w pokoju, powołały w tym celu komisję, a Chińczycy przyrzekli im, że nie pogodzą się bezpośrednio z Japończykami. Wojna chińsko-japońska, jak to przewidzieć można, zakończy się tylko za zgodą Anglii, a nieprawdopodobną rzeczą jest by Japończycy nie otrzymali żadnej nagrody za swą napaść. Pewnie, że nie zostawi się im całego łupu; ale owe obszary w Chinach Północnych, na których interesy mocarst wzachodnich są minimalne, zostałyby zaofiarowane.

*

Ale poza mężami stanu istnieją jeszcze narody. To, co Chamberlain uważa za możliwe w zupełności do przyjęcia rozwiązanie, wydaje się rzeczą nie do zniesienia robotnikowi w Barcelonie, chłopu w Aragonii i kulisowi w Pekinie czy Szanghaju. Te masy ludzkie stawiają opór obcej przemocy, one stanowią realną potęgę. Ale siła ich nie starczy na razie, by osiągnąć zwycięstwo.

Brytyjscy mężowie stanu liczą się z tymi ludami, uwzględniają je w swych kalkulacjach, ale nie chcą ich zwycięstwa. Gdyby robotnicy i chłopi hiszpańscy skapitulowali po kilku tygodniach, mocarstwa zachodnie byłyby już może zmuszone walczyć z Włochami w gorszych warunkach. Narazie zostało to im zaoszczędzone, teraz wiec węszą za sposobnością, by móc zdławić rewolucję hiszpańską, nie wystawiając przy tym na żadne niebezpieczeństwo swej pozycji.

Wyrachowania te jakoż się jeszcze nie sprawdzają. Faktyczne możliwości walczących narodów są nieznane, a siła, z jaką stawiają opór, jest w każdym razie o wiele większa, niż to się w przybliżeniu określa w kancelariach państwowych. Dodać trzeba, że walczące narody zyskują naturalnych sprzymierzeńców wśród innych narodów, że moralność napastników (o ile można w ogóle mówić u nich o moralności) często się prędzej załamuje niż moralność broniących się ludów.

Przecie mało się czyni starań, by zmobilizować ogromne siły, drzemiące w demokratycznych masach ludowych całej Euorpy Istnieje na uczuciach oparta międzynarodówka proletariatu; o tym, że istnieje również zorganizowana Międzynarodówka, zapomniano — jak się to wydaje — w obliczu walk hiszpańskich (a ostatnio i chińskich).

*

Sytuacja zewnętrzna jest niebezpieczna. Anglicy starają się przeciągnąć gwałtem narodowych socjalistów na swoją stronę. Brytyjsko - amerykański traktat handlowy, godzi w export Trzeciej Rzeszy, a przymierze brytyjsko - francuskie, przedłużone dzięki przymierzom Francji na Wschodzie, hamuje expansję nazistyczną. Zachód ofiarowuje, i bez zaproszenia, pokój: swój pokój, pokój brytyjski. Ale zbroi się też i przygotowuje do wojny.

A co robi Trzecia Rzesza? Żąda swego pokoju, żąda hegemonii. I godzi paktem antykomunistycznym w państwo angielskie, popiera grupy francuskie, które jutro mogą wzniecić rebelię. Spekuluje na słabości demokracji, objawiającej się podczas konferencyj; ale lekceważy efektywną siłę państw, które swoją uległością dodają odwagi despotyzmowi faszyzmu, którym się narazie jeszcze nie spodobało związać się z ogromnymi siłami ludowymi, a dzięki nim przecież stałyby się natychmiast bez żadnych zbrojeń potęgą nie do przezwyciężenia.

Nacisk na despotyzm zwiększa niebezpieczeństwo wojny, kiedy się go wywiera niewystarczającymi środkami. Ale presja, wywarta przez tych dziewięćdziesiąt procent ludzkości, o których mówił Roosevelt — przyniosłaby zbawienie i zmusiła wichrzycieli do ustępienia.

Frankfurcki niedźwiedź robi propagandę

Gleichschaltowany dziennik *„Frankfurter Zeitung“* przystąpił do werbowania abonentów w Polsce. W tym celu rozesłał listy propagandowe do licznych przedsiębiorstw i instytucji w Warszawie, w ich rzędzie, także do żydowskich instytucji, a nawet stronnictw politycznych. List zamierzano napisać po polsku, ale w jakim języku zamiar ten uskuteczniono, niechaj czytelnik sam zechce osądzić. Przytaczamy dosłowny tekst listu:

> *„W. Panowie*
>
> *pozwalamy zaprosić niniejszym do abonamentu „Frankfurter Zeitung“. Dając sposobność, przez regularne czytanie ową gazetę dokładnie zapoznać, ofiarujemy bezpłatne i nieobowiązujące nadesłanie na próbę. Obszerne i niezawodne sprawozdanie gazety jest najlepszym źródłem informacji gospodarskiej. Obok jasnego sposobu opisywania rozwoju niemieckiego Gazeta Frankfurcka uwzględnia w opracowaniu ważne zdarzenia we wszystkich państw i zyska przez to dla przedsiębiorca, który się wszystkim, co się dzieje poza granicą, interesuje, szczególną wartość. Gazeta Frankfurcka uzupełnia jej wiadomości przez zastanowienie przyczyn i skutków określających zdarzeń i ofiaruje dużo napomknięcia korzystnych.*
>
> *Współpracowniki fachu we wszystkich krajach reczą za staranność i słowność jej ogłoszeń.*
>
> *Nasze zaproszenie na abonament Gazety Frankfurckiej możemy też tym tłomaczyć, że jest naj więcej czytanym dziennikiem zagranicą i opracuje stosunki handlowe pomiędzy narodowemi z szczególną uwagą.*
>
> *O ile WPanowie przyjdą do przekonania, że bardzo dużo korzystają z Gazety Frankfurckiej, cieszyłoby to nas niezmiernie. Proszę się posługiwać pocztówki dołączonej do zamówienia.*
>
> *Z wyrazem głębokiego szacunku*
> *Frankfurter Zeitung*
> *Abteilung V P*
> *(podpis nieczytelny)“.*

O co właściwie chodzi pruskiemu niedźwiedziowi, wysyłającemu do Polski listy propagandowe, pisane nienaganną chińszczyzną? O „napomknięcia korzystnych“ dla „przedsiębiorca“? O „zastanowienie przyczyń i skutków określających zdarzeń“? A może o „stosunki handlowe pomiędzy narodowemi“? Albo raczej o „jasnego sposobu opisywania rozwoju niemieckiego“?

Jeśli ten „rozwój niemiecki“ i sposób jego opisywania jest tak jasny, jak przytoczony chiński list, to pożal się Boże! Niedźwiedzia niezręczność, pruska głupota i brak taktu występują równie wyraźnie w wielkich i drobnych aktach propagandowych tego „rozwoju“.

„Frankfurterka“ zasłużyła jednak na gratulacje: szybko i składnie gleichschaltowała się do ducha obecnej fazy „niemieckiego rozwoju“.

J. Majus

Czy współpraca krajów anglosaskich?

Obecna współpraca Anglii i Stanów Zjednoczonych A. P. przy próbie załagodzenia konfliktu japońsko-chińskiego i nawiązanie rokowań o zawarcie ważnego układu gospodarczego przesłaniają dawne rozbieżności między tymi dwiema największymi potęgami świata. Obawa przed zatrważającą ekspansją Japonii kazała obu krajom anglo-saskim wspólnie interweniować przez inscenizację brukselskiej konferencji 9 mocarstw. Konferencja ta nie spełniła swego zadania nietylko z powodu szczególnej konfiguracji politycznej w Europie, która dała Japonii wolne ręce na kontynencie chińskim. Anglia i St. Zjedn. nie mogą zdobyć się na wspólną i daleko idącą realną interwencję przeciw Japonii, gdyż mimo chwilowego zbliżenia dawne ich przeciwieństwo interesów trwa nadal, utrudniając ciągłą współpracę, wymagającą politycznego zaangażowania się.

Przeciwieństwo to wyraża się w ostrej walce obu potęg anglosaskich o rynki zbytu dla swych przemysłów, pola inwestycji kapitałów a przede wszystkim o źródła ważnych i decydujących surowców: bawełny, ropy naftowej, kauczuku i inn. Lecz walka ta toczy się głucho pod powierzchnią życia politycznego i dlatego świat wie o niej tak mało. Tylko niekiedy przechodzą giełdowe zmagania się finansowo-handlowych potentatów świata w dramatyczne momenty dyplomatycznych konfliktów. Anglia chce bronić za wszelką cenę swej dawnej pozycji gospodarczej metropoli świata. Po wojnie światowej zjawiają się Stany Zjednoczone jako najgroźniejszy rywal angielskiej hegemonii. Wzajemne gospodarcze stosunki obu krajów wahają się ciągle między czasowym zawieszeniem broni a zaciętą walką konkurencyjną brzemienną w najgorsze następstwa.

WALKA O BAWEŁNĘ.

Z ogólnej światowej produkcji bawełny wynoszącej przeciętnie 25 milionów bali dostarczają St. Zjedn. 15 milionów. Lecz Stany Zjednoczone spożywają tylko połowę swej bawłny, a resztę wywożą. Dokąd? Przede wszystkim do Anglii i Japonii, gdzie istnieją największe przemysły włókiennicze świata. Dla Anglii bawełna jest jednym z najważniejszych surowców, podstawowym składnikiem bogactwa narodowego. Przemysł włókienniczy Anglii znajduje się jednak od lat w opłaknym stanie. Ostatnio dał się nawet pobić przez Japonię, która zajęła pierwsze miejsce w światowym eksporcie wyrobów włókienniczych.

Przyczyną długoletniego kryzysu angielskiego Lancashire, którego ostrze zostało tylko częściowo stępione przez przemysłową koniunkturę ostatniego okresu, jest nietylko zacofanie techniczne angielskich fabryk włókienniczych. Na zwiększone koszty produkcji angielskich producentów działała też ciągła zależność od amerykańskiego eksportowego rynku bawełnianego. Próby waloryzacji amerykańskiego eksportu bawełny raniły boleśnie panów z Lancashire. To też „niepodległość bawełniana" stała się jedną z ważnych składowych części programu akcji budowniczych imperium angielskiego.

Anglia dąży zatym od lat do zaopatrywania się w bawełnę w swych koloniach. Zamieniła Egipt w jedną wielką plantację bawełny, nie kierując się żadnymi względami na rzeczywiste interesy ludności tego kraju uzależnionego obecnie w zupełności od tej monokultury. Jeszcze więcej bawełny niż Egipt, jakkolwiek gorszego gatunku, dają plantacje angielskich Indii Wschodnich. Olbrzymie plantacje bawełny założyły konsorcja angielskie w *Sudanie*. Plantacje powstały też w Ugandzie, w Kenii i Afryce Południowej. Zacięta walka o bawełnę trwa wciąż i nie ustaje ani na jedną chwilę.

NAFTA W POLITYCE.

Od czasu wynalezienia i zastosowania Silników Diesl'a w komunikacji i przemyśle stała się ropa naftowa najważniejszym i najbardziej poszukiwanym z surowców. Władza nad źródłami ropy naftowej to władza nad światem. W Londynie zdają sobie dobrze sprawę z tego, że opanowanie źródeł ropy rozstrzyga o przyszłości imperium. „Naftowa" polityka Anglii jest konsekwetna, przeozrna i obliczona na długie lata.

3 główne grupy koncentrują światową produkcję ropy. Amerykańska obejmująca cały kontynent Ameryki i kontrolowana przez „Standard Oil Comp." daje rocznie 22.000 milionów barreli. Europejska i północno-azjatycka grupa dostarcza rocznie około 16.500 milionów barreli. Brytyjska grupa Przedniej-Azji (Persja, Mezopotamia, Indie, Indie Holenderskie, Algier i Egipt) wydobywa tylko 11.000 milionów barreli, jakkolwiek możliwości jej są o wiele większe.

Jak dotąd tylko źródła amerykańskie stały w pełni na usługę konsumentów. Stany Zjednoczone eksportują ropy za 530 milionów dolarów rocznie, z czego Anglia sama kupuje za 100 milionów dol. Lecz złoża ropne świata są ściśle ograniczone! Przy obecnej intensywnej eksploatacji zapasy Ameryki skończą się w bliskiej przyszłości. Anglia kupuje ropę u Ameryki wykorzystując tylko nieznacznie własne złoża, należące do najobfitszych w świecie. Anglia żyje dziś świadomie na rachunek rywalki. Płaci jej rok rocznie grube pieniądze, ale wyciska jej soki żywotne. Nafta przyszłości należy do Angli. Sir Henry Deterding może śmiać się w kułak z niemądrych Yankesów.

Przebiegła polityka Anglii napawa wielką troską amerykańskich mężów stanu. Zwłaszcza, że Anglia systematycznie eliminuje amerykańskie towarzystwa naftowe z obszarów znajdujących się w jej sferze wpływów. Przed wojną uczyniła to w Indiach i Burmie. Lecz nawet w czasie wojny nie zmieniła taktyki. Tak samo odnosiła się do Francuzów. Słynny tajny układ Sykes-Picot z r. 1916 o podziale imperium otomańskiego na „sfery wpływów" między Francją a Anglią, który na pozór miał utrwalić stanowisko Francji na Bliskim Wschodzie, w rzeczywistości wyeliminował francuskich finasistów z drogocennych pól naftowych Mossulu i Persji, Wilson wierzył naiwnie, że uda mu się w traktatach Wersalu i Sèvres utworzyć jako przeciwwagę do ekspansji brytyjskiej republikę *armeńską* pod mandatem Stanów Zjedn. Plany te jednak nazbyt prędko się rozwiały i St. Zjedn. musiały zadowolić się skromnym udziałem w Turkish-Oil, który przyznała jej konferencja lozańska.

Ta uparta i konsekwentna polityka brytyjska sprawiła, że całe pasmo pól naftowych dookoła Oceanu Indyjskiego pozostało w wyłącznym posiadaniu angielskim. Royal Dutch w Indiach, Shel na Sumatrze i Borneo, Burma-Oil w Burmie, Anglo-Persian w Południowej Persji i nad zatoką, Turkish-Oil w Mossulu, Egyptian-Oil nad kanałem Suezkim, wszystkie są kontrolowane przez kapitał angielski i bronione potężną linią fortyfikacji imperialnych dróg komunikacyjnych czyniących z Oceanu Indyjskiego angielskie polityczne i gospodarcze „mare nostrum".

Kapitał angielski pomyślnie konkuruje z amerykanskim też na polach Wenezueli i Meksyku i to zaostrza jeszcze bardziej ich wzajemne przeciwieństwo interesów.

BRYTYJSKI MONOPOL KAUCZUKU.

Zacięta walka toczy się między St. Zjedn. a Anglią też o najbardziej współczesny z surowców: kauczuk, stanowiący podstawę przemysłu gumowego. Dawniej osławiły się towarzystwa europejskie nieludzkimi metodami uprawianymi w Kongo belgijskim i lasach Amazonki — przy eksploatacji dzikiego kauczuku. Gdy wraz z szalonym rozwojem przemysłu automobilowego wzrósł popyt na ten surowiec rozszerzono zakładanie specjalnych plantacji kauczuku.

Ogólne światowe zapotrzebowanie na kauczuk wynosi w przybliżeniu 750.000 tonn rocznie, z czego same St. Zjedn. konsumują 460.000 tonn. I nic w tym dziwnego, jeśli zważy się gigantyczne rozmiary przemysłu automobilowego w Ameryce Płn. General Motors i zakłady Forda przynosiły w dobrych latach koniunktury zyski wprost fantastyczne.

Cyfry produkcyjne amerykańskiego przemysłu automobilowego wzrastają, lecz surowiec muszą Yankesi kupować u Anglików. Gdyż głównymi producentami kauczuku są Malaje brytyjskie (336.000 tonn rocznie) i Indie Holenderskie związane z kapitałem angielskim i dostarczające 200 tonn. Głośny w sym czasie plan Stevensona, który ograniczył brytyjską produkcję kauczuku i podniósł znacznie ceny tego surowca napotkał się z ostrym sprzeciwem ze strony St. Zjedn. W praktyce oznaczało to postępowanie Anglii nałożenie specjalnego podatku rocznego na amerykańskie zakłady automobilowe.

Andrews Mellou, niedawno zmarły amerykański minister finasów, obliczył, że ten „podatek" równa się sumie, którą Anglia miała płacić corocznie St. Zjednoczonym tytułem spłaty swych długów wojennych.

Plan Stevensona, przeciw któremu kapitał amerykański ostro wystąpił do walki, upadł wprawdzie w końcu, lecz amerykanie nauczeni doświadczeniem zaczęli na dobre przemyśliwać o uniezależnieniu swej konsumcji kauczuku od plantacji brytyjskich. Zaczęli wykupywać plantacje z rąk holenderskich na Sumatrze i Jawie, założyli własne plantacje w Liberii i na Filipinach. Pełnej niezależności od kauczuku angielskiego — jak dotąd — jednak nie osiągnęli.

DZIŚ I JUTRO.

Podobnie współzawodniczą Amerykanie z Anglią o ołów, aluminium i inne metale wogóle a przemysłu wojenego w szczególności. A nade wszystko — rywalizacja ich kolrowe, niezbędne dziś dla przemysłu na *światowych rynkach zbytu* nie ustaje ani na chwilę, stanowiąc osobny ciekawy rozdział historii gospodarczej lat powojennych. Stany Zjednoczone konkurują groźnie z Anglią na rynkach jej własnych dominiów!

Jaka będzie przyszłość tego głębokiego przeciwieństwa interesów trudno dziś jeszcze przewidzieć. Lecz w rzędzie możliwych konfliktów politycznych o światową hegemonię nie jest jednak wykluczonym przyszłe starcie się obu potęg anglosakich. Mimo czasowej kooperacji do jakiej zmusza ich wspólny azjatycki rywal — Japonia i aktualnych rokowań handlowych, sygnalizujących gospodarcze zawieszenie broni.

A. Goldschmidt

Nowi Wikingowie

Stany Zjednoczone obchodziły uroczyście w całym kraju stupięćdziesiątą rocznicę konstytucji, przysięgając z dumą na jej wierność. Jakkolwiek konstytucja nie bucha tym żywiołowym ogniem, co cudowna Deklaracja Niepodległości z 4 lipca 1776, to szczególnie przyrzeczenia dodatkowej ustawy konstytucyjnej (Amendments) pełne są uświadomienia obywatelskiego. W konstytucji jeszcze płonie gniew przeciwko despotyzmowi brytyjskiemu. Ale nie burze zrodziły konstytucję, lecz pertraktacje. Był to kompromis, że tak powiem, Hamilton plus Jefferson, to znaczy: rozpoczynająca się akumulacja handlu i pieniędzy w połączeniu z „amerykańskim snem", ze snem o niepodległości „Małego Człowieka" — wówczas jeszcze farmera, który chce być wolny i uprawiać swą skromną własność.

Ten sen kołysał miliony prawie przez półtora wieku, wyprowadzał je z depresji i kryzysów i żył w ogromnych masach niższego i średniego stanu, jak również wśród amerykańskich robotników. O te masy toczy się teraz polityczno-ekonomiczna walka w Stanach Zjednoczonych, a po obu stronach powiewa sztandar konstytucji. Najwybitniejsi przywódcy — to Henry Ford, stojący na czele przedsiębiorstwa, liczącego 120.000 robotników i urzędników, oraz Lewis — na czele Komitetu Organizacyjnego, który chce uczynić z czterdziestu milionów produktywnych ludzi gigantyczną demokratyczną organizację bojową. Obaj opowiadają się za dyscypliną, Ford za dyscypliną z góry płynącą, Lewis za demokratyczną dyscypliną ogromnych mas przemysłowych. Hamilton był finansistą, ale przemysłowiec Ford jest mu z ducha pokrewny; Jefferson był pionierem amerykańskiego ruchu chłopskiego, ale Lewis, organizator nowoczesnych związków zawodowych, działa w duchu Jeffersona. To są dwie zasady tego kraju i nie ulega żadnej wątpliwości: dziś Lewis jest człowiekiem prawym, prawdziwym Amerykaninem w sensie owych „Amendments". Przeciwko niemu jest Green, leader amerykańskiej Federation of Labor, stojący na tylnych strażach ruchu społecznego. Jego tendencje zostaną wkrótce przezwyciężone albo zostawią po sobie słabe resztki organizacyjne. „Pertraktacje ugodowe", prowadzone ostatnio między Lewisem a Greenem, — czy zakończą się tak lub inaczej — nie przyniosą rzeczywistej ugody. Przeciwnik Forda jest współczesnym przywódcą mas, który odważnie przeciwstawia się koncentrującym się „olbrzymom społecznym". Panujące stosunki nie znoszą więcej gospodarki parcelacyjnej odnośnie sil roboczych. To już minęło. Tu rozchodzą się drogi amerykańskich demokracji: demokracji mas z jednej strony, a z drugiej demokracji, stojącej na gruncie hamiltonowskiej wolności, dążącej do bogactwa i potęgi jednostki — zgodnie z obywatelskimi zasadami z 1776 i 1787 roku.

Tak zatem rozpoczęła się podstawowa ewolucja „struktury" Ameryki, zwalczanej przez najpotężniejsze giganty finansowe i przemysłowe świata. Nie wierzy się, że Lewis jest socjalistą. Jest on niejako proletariackim wydaniem Roosevelta. Nowoczesne związki zawodowe są dlań „dobrym samarytaninem przemysłu", demokratyczną pomocą dla Roosevelta, narzędziem walki przeciwko hamiltonowskiej koncentracji i wypływającej z niej władzy politycznej, bojownikiem o skromne, lecz pewne życie dla wszystkich. Nie „rojaliści przemysłowi", lecz zapewnione w swej egzystencji miliony, ekscytowane i uszczęśliwione cywilizacją i techniką, która w Stanach Zjednoczonych dokonywa wprost cudów swym zawrotnym tempem, niezwykłym utylitaryzmem i powszechną wygodą — oto sens organizacji C. I. O Lewisa i Roosevelta New Dea. Nie mogą one zginąć wespół z łaknącą organizacji klasą robotniczą, pomimo skierowanych przeciw nim wyroków Sądu Najwyższego, skarg drżących przed krachami giełd i domów bankowych, wreszcie pomimo oskarżeń ze strony republikanów, którzy są zainteresowani nie w rozwoju stosunków, lecz w ich stałości, w istocie niemożliwej. Prawie jałowy był do niedawna antogonizm pomiędzy Demokratyczną i Republikańską Partią; obecnie ponowny wybór La Guardia na nadburmistrza New York'u spowodował bądź to przejście pewnych części jednej partii do drugiej, bądź też ich zlanie się w jeden postępowy obóz. Wyrazem tej ewolucji jest Labor Party, zorganizowana przed rokiem w niezwykle szybkim tempie.

Nietrudno sobie wyobrazić, że w takich warunkach dawne potęgi gromadzą i usiłują wzmocnić swe siły wokół wielkiego przemysłu Wallstreet. Tam wślizguje się służalczo wszystko, co w U. S. A. jest jawnie lub skrycie faszystowskie, a wśród tych sług przemysłowych i finansowych „rojalistów", wśród tych, którzy im ofiarowują swe usługi, szukać oczywiście należy także „nazi", dla których Ford w Ameryce jest tym samym, czym był dla nich w Niemczech Kindorf i Thyssen. Dotychczas przeważnie z niepowodzeniem paradowali, pomrukiwali i grozili, co w żadnym razie nie znaczy, że nie byli czynni lub nie przedstawiali sobą niebezpieczeństwa. Faktem jednak jest, że ich entuzjazm wyborczy dla republikana Landona czy też reakcyjnych kandydatów na stanowisko burmistrza New York'u był bezowocny. Do tego Manfred von Killinger, komandor „uganiaczy" za żydowskimi dziewczynkami, siedzi jako narodowo-socjalistyczny konsul generalny w San Francisco, i w ogóle „nazi" nie pozostają tutaj w żadnym razie bez reprezentantów, czy to przez prawo międzynarodowe chronionych, czy też bez takiego immunitetu , jawnych czy ukrytych. Spodziewać się należy ich wzrostu, a także liczyć się należy z tym, że w niedługim czasie staną się w Ameryce czymś w rodzaju partii Henleina, że skarżyć się obłudnie będą na złe traktowane mniejszości niemieckiej w Stanach i t. d. Albowiem są oni najbardziej powołanymi obrońcami uciśnionych.

•

Ale tu daje się zauważyć inne niebezpieczeństwo, które mało kto spostrzegał już przed laty, które jednakże wciąż się wzmaga w pobliżu Stanów Zjednoczonych. Jednym ze zwiastunów tego niebezpieczeństwa jest były socjal-demokrata Colin Ross, który po podróży przez góry Łacińskiej Ameryki zawołał: Nie Anglosasi powinni tu panować, lecz Germanie! Wtedy odpowiedziano mu śmiechem; dziś już wielu spostrzega, co to znaczyło.

Korespondent „New York Times" nadesłał niedawno sprawozdanie o wniosku, skierowanym przeciwko „obcym handlowcom", który wnieśli do Izby meksykańskiej członkowie „Parti do Nacional Revolucionarro". Ci „obcy" — to Żydzi w Meksyku, przeciwko którym Goebbels już od lat prowadzi knowania przy pomocą faszystowskich „Camisas de Oro" („złotych koszul"). Narodowo-rewolucyjna partia Meksyku — to organizacja polityczna, która wespół z organizacjami robotniczymi wprowadziła do rządu p. Cardenas i właśnie dziś go jeszcze popiera. Jest ona już zarażona faszyzmem i faszystowskie jej elementy odniosą się życzliwie do „tendencji oswobodzenia", z powodu których w państwie meksykańskim San Luis Potosi tworzy się prywatna armia faszystowska pod wodzą generała starej meksykańskiej szkoły rebeliantów. Na granicy Guatemali i Meksyku przygotowana jest broń „znanego pochodzenia", co świadczy o tym, że „strategia oswobodzenia" przeszczepiona została ze środkowej Europy do środkowej Ameryki i Meksyku. Poznać tu moc „nowego ducha", która działa przez morza i lądy. O tym narodowym socjalizmie z nowej postaci dowiedziałem się od jednego z najwierniejszych i najodważniejszych bojowników o rzeczywistą wolność w Meksyku.

Gdy się bliżej przyjrzeć, zrozumiały się staje bez większych trudności plan wikingów. Meksyk jest ostatnią basztą demokracji w Łacińskiej Ameryce. Ameryka Środkowa jest faszystowska po myśli owego prezydenta w Costa-Rica, który przed dziesięciu laty powiedział mi, że marzy o cudownej dyscyplinie pruskiej, którą chętnieby natychmiast zastosował przeciwko oponującym, uciśnionym małorolnym. Ameryka Południowa jest w całości albo w połowie faszystowska. Wszyscy ci „Duce" nie mają identycznego z p. Rosenbergiem poglądu na świat i nie są wprawdzie wszyscy „czystej krwi" — ale wiedzą doskonale, jak przy pomocy broni, zakazów i terroru wyzyskać dla swoich niecnych celów siły robotnicze i wartości inteligencji. Mój przyjaciel i uczeń Haya de la Torre, dopuszczający się tu i owdzie błędów przywódca „Apra" (Acociacion Popular Revolucionaria Americana), który trzykrotnie był słusznie, lecz daremnie wybrany prezydentem Peru, może na podstawie własnego doświadczenia coś o tym powiedzieć. Prymitywny, świeży i bodaj że radosny faszyzm, który strzela do obranych prezydentów i z powodzeniem studiuje europejską szkołę wojenną, na ogromnych terytoriach łacińskiej Ameryki za wyjątkiem może Argentyny przygotowywał się dotychczas do wielkich sukcesów.

Ogromny ten teren jest przeznaczony na czwartego członka przymierza faszystowskiego, ma być przedłużeniem tak zwanej osi, która dotychczas łączy Berlin, Rzym i Tokio i wkrótce przekroczyć ma Pacyfik. Plan jest bezwątpienia gigantyczny. Ma on na celu „uwięzić" Stany Zjednoczone w Ameryce Łacińskiej, to znaczy: odwieść je od Dalekiego Wschodu. Dzięki temu manewrowi na jednym kontynencie ma być sparaliżowana polityka Stanów Zjednoczonych nad O. Spokojnym i zachwiana ich demokracja, a Japonia wzmocniona. W odpowiednim momencie „uciśniona mniejszość" w Stanach otwarcie wystąpi wraz z oswobodzicielami. Japonia zaś mogłaby rozporządzać w tej grze całym wybrzeżem Oceanu Spokojnego od Ziemi Ognistej po meksykańską Kalifornię wraz z wyspami jako „punktami oparcia".

Tyle na ten raz o planie, który znany jest antyfaszystowskim siłom w Ameryce. Meksyk tylko, ostatni narożnik fortyfikacji nieprzyjacielskiej, zdaje się stać na przeszkodzie oswobodzicielom.

Może Roosevelt tego bliskiego wroga amerykańskiej demokracji miał na myśli, kiedy 5 października przy końcu swojej mowy w Chicago powiedział:

> *Jesteśmy zdecydowani trzymać się zdala od wojny, ale nie możemy się jeszcze bronić przeciwko nieszczęsnym skutkom wojny i niebezpieczeństwu zawikłań (involvement)...*
>
> *Nie możemy być pewni żadnej ochrony w świecie nieporządku, gdzie pojęcia zaufania i pewności zostały podważone.*

Tego samego dnia Roosevelt był na lunch'u u kardynała Mundelein, który narodowym socjalistom powiedział kilka bardziej bezpośrednich słów.

Ale Pan Manfred von Killinger siedzi w San Francisco, że tak powiem — zerkając jednym okiem przez morze do Japonii, drugim przez ląd do Meksyku.

•

Ostatnie wypadki w Brazylii czynią sytuację jeszcze jaśniejszą: Faszystowska walka handlowa przeciwko Anglii i Stanom Zjednoczonym w Południowej i całej Łacińskiej Ameryce, faszyzm jako główny eksploatator gospodarczy Azji i Łacińskiej Ameryki — ręka w rękę prowadzą od kontynentu do kontynentu grę w celu zmuszenia demokracji do wszelkich ustępstw.

Dr. MAYER EBNER

Stronnictwa antysemickie w Rumunii

I.

W okresie przedwojennym antysemityzm objawiał się przede wszystkim w dwóch postaciach: w pogardzie i lekceważeniu. W starym królestwie rumuńskim lekceważenie miało przewagę nad pogardą . Szlachta z pod zaboru rosyjskiego w Polsce i bojarowie (wielcy właściciele ziemscy) w Rumunii odnosili się do swoich Żydów z „życzliwym“ nawet w swoim rodzaju lekceważeniem, podczas gdy masy ludowe i chłopi byli z Żydami w tych krajach w nader dobrych stosunkach. W przeciwnym razie zgodne współżycie w ciągu całych stuleci byłoby nie do pomyślenia. Sporadycznie zdarzające się ekscesy antyżydowskie były zawsze tylko następstwem hecy, która przychodziła z miast. Nienawiść do Żydów szerzyła w Rumunii pół inteligencja i ci wszyscy, których stopa życiowa nie odpowiadała stanowisku socjalnemu, jak np. nauczyciele ludowi, niżsi urzędnicy państwowi it.p. Wystąpienia przeciwko Żydom były oznaką naprężenia kwestii socjalnej, od której chciano w ten sposób odwrócić uwagę (system dywersji). Znane rozruchy chłopskie w 1907 zwrócone były tylko początkowo przeciwko Żydom, w dalszym swoim przebiegu były powstaniem żądnego ziemi chłopstwa przeciwko wielkim właścicielom, których posiadłości zajmowały obszary małych księstewek. Od Żydów się zaczęło, a zwróciło się przeciw bojarom. Zjawisko to, jak czerwona nić, przeplata historię ostatnich dziesiątek lat. „Od Żydów się tylko zaczyna“ — powiedzenie to stało się w Rumunii prawie przysłowiowe.

PROSZKI BÓLU GŁOWY
DLA DOROSŁYCH
ZE ZNAKIEM FABR.
PSZCZÓŁKA
Stosuje się również przy PRZEZIĘBIENIU GRYPIE i KATARZE

Pierwsze lata *okresu powojennego* przyniosły osłabienie nastrojów antysemickich w Rumunii. Odbudowa w dwójnasób zwiększonego państwa koncentrowała całą uwagę, spotęgowane dzięki zjednoczeniu wszystkich Rumunów poczucie narodowe użyczyło wspaniałomyślności, koła rządzące starały się i o duchowe połączenie nowoprzyłączonych prowincji z macierzą. Zalecano się do mniejszości, a większość rumuńskich mężów stanu posiadała dosyć mądrości, by uznać, że właśnie Żydzi z geograficznych przyczyn chociażby pozbawieni są wszelkich dążeń irredentystycznych i że ich interesy gospodarcze w wielkiej mierze związane są z nienaruszalnością rozszerzonych granic. Wysoka koniunktura gospodarcza, która z krótkimi przerwami utrzymała się do początku 1930 roku, nie była właściwym podłożem dla działalności antysemickiej na szerszą skalę. Istniało do wówczas tylko jedno większe stronnictwo antysemickie, którego powodzenie w wyborach było też nieznaczne. Dziesięciu zdeklarowanych antysemitów w Izbie, liczącej 387 deputowanych, nie miało zbyt wielkiego znaczenia.

II.

Na czele tego stronnictwa stał i stoi jeszcze dziś profesor uniwersytetu w Jassy A. C. Cuza. Dziś jest on mężem powyżej lat 80. W ciągu lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia jest Cuza najbardziej czynnym przedstawicielem antysemityzmu. Żaden z tak licznych dzisiaj przywódców antysemickich nie jest tak nieubłagany jak on, nie pała taką nienawiścią do kompromisów. Jako deputowany do ciał ustawodawczych za każdym razem podczas tak zwanej „debaty generalnej“ (główna debata polityczna w parlamencie) słyszałem z ust posła Cuzy mowy w tym samym sensie. Rok rocznie prowadził swą walkę z Bogiem żydowskim, ze starym Testamentem i z Talmudem. A że jest to mąż dużej wiedzy i obdarzony wrodzonym dowcipem, miał z reguły pełno słuchaczy, przy czym jednak jego projekty zniszczenia żydostwa nie były brane zbyt poważnie. Nieustraszoność poglądów nacjonalistycznych profesora Cuzy, jego nieugiętość i zapał w propagandzie są ogólnie cenione i wszystkie te zalety jednak nie wytworzyły w nim ani krzty wyniosłości. Dzięki swoim zdolnościom i energii zaszedłby Cuza w każdej innej partii w państwie o wiele dalej; jego stronnictwo polityczne zaś dotychczas istotnie się nie powiększyło, co należy przypisać temu, że z powodu swej często hałaśliwej działalności i bezwzględnej jednostronności właśnie nie jest ono zdolne do rządzenia. Poseł Davila powiedział raz profesorowi Cuza podczas jawnej sesji: „Antysemityzm sam nie jest programem rządzenia. Wystarczy on tylko na to, by młodzież „zagalwanizować nacjonalizmem“.

Długo trwało, zanim prof. Cuza przejrzał i, działając pod naciskiem swoich przyjaciół, dążących do władzy w państwie, związał swoją partię z partią pana Oktawiana *Goga*.

Oktawian Goga pochodzi z Transylwanii, jest pisarzem, poetą i mówcą z Bożej łaski, był już ministrem wyznań ligencji, która zalicza się do antysemireligijnych i spraw wewnętrznych, wreszcie stał na czele partii chłopskiej, do której należeli również mieszkańcy miast oraz Żydzi w większej liczbie. Goga przez długi czas zaprzeczał, jakoby miał być antysemitą, chociaż w niebezpieczny sposób schlebiał nacjonalistycznej młodzieży antysemickiej. Był przy tym jednak w dobrych stosunkach z żydowskim przemysłem i żydowskim światem bankowym, był członkiem zarządu w całym szeregu przedsiębiorstw żydowskich. Dziś Oktawian Goga jest obok Cuzy współkierownikiem stronnictwa narodowo - chrześcijańskiego, które uważa się dzięki temu zjednoczeniu za zdolne do objęcia rządów.

III.

Aby uczynić istotę antysemityzmu w Rumunii lepiej zrozumiałą, chcę na podstawie mojej znajomości rzeczy zaznaczyć, że antysemityzm ten nosi mniej programowy, a raczej *partyjno - polityczny* charakter. Błędne byłoby przekonanie, że *naród* rumuński jako taki pełen jest nienawiści do żydostwa. Chłopi są pozbawieni tej nienawiści, u intetów, decydują pewne motywy społeczne, a u wielu antysemityzm właśnie jest środkiem, jest szczeblem, po którym można się wspiąć na wyższą pozycję polityczną. U wielkich partii, liberałów i „narodowych zarahistów“ (partii chłopskiej), które zwykły nawzajem po sobie następować w rządzie, współzawodnictwo jest zbyt wielkie. Każdy nowicjusz musi stanąć w szeregu na swoim miejscu i bardzo długo trwa, zanim przyjdzie na niego kolej. Dlatego też, jak się to często daje zaobserwować, politycy przechodzą z jednej partii do drugiej. Gdy ktoś w swojej partii nie wysuwa się w odpowiednim tempie naprzód, próbuje szczęścia na innej drodze. Tak więc nie jeden przystępuje do stronnictwa narodowo - chrześcijańskiego nie dlatego właśnie, że jest przeciwnikiem Żydów, ale dlatego, że chce pójść z *prądem*, który *ogromnie przybrał na sile w ciągu lat ostatnich*. Nie jeden marzy o powołaniu stronnictwa narodowo - chrześcijańskiego do rządów, a ponieważ stronnictwu temu nie łatwo przyszłoby skompletowanie kadry rządowej, ma nadzieję uzyskać stanowisko szefa departamentu, jeżeli jest skromny, lub tekę ministerialną, jeśli skromnością nie grzeszy.

Grupa Gogi wzniosła ze sobą nową treść do partii Cuzy, która była się już trochę postarzała. Wniosła ze sobą oportunizm polityczny, którego brakowało profesorowi Cuza, byl bowiem przede wszystkim i tylko antysemitą. Zjednoczone stronnictwo ukryło swój wewnętrzny rozłam i między innymi dochodzą nazewnątrz pogłoski, jakoby się obie grupy nawzajem nie znosiły. Wydaje się, że Goga uznaje, iż ze 100-procentowym antysemityzmem nie można w Rumunii liczyć na objęcie rządów i, o ile wszelkie wróżby nie mylą, partia narodowo - chrześcijańska — zwana „partią pp. Cuza i Goga“ — w najbliższym czasie nie będzie powołana do rządów. Jest to partia, która czyni zbyt wiele hałasu, aczkolwiek ze względu na pożądaną władzę chce w ostatnich czasach uchodzić za partię ładu publicznego. W jej publicystycznych organach nadaje ton radykalny antysemityzm.

Ze stronnictwem p. Goga i profesora Cuza współzawodniczy tak zwana „Żelazna Gwardia“. Jako stronnictwo polityczne nazywa się ona „Totul pentru Tara“, to znaczy „Wszystko dla kraju“. Partia ta ma swego prezydenta, ale nad nim stoi kapitan Cornelin Codreanu, który jest właściwym przywódcą.

IV.

Cornelin *Codreanu*, który nie skończył jeszcze lat czterdziestu, ma już za sobą prawie dwudziestoletni okres walki. Walkę tę zaczął w czasach studenckich, organizując młodzież i szerząc wśród niej ducha nacjonalistycznego. Wielokroć popadał w konflikty z władzami bezpieczeństwa, bywał często więziony i zwolennicy z triumfem przynosili go do domu. Codreanu jest fanatykiem idei najsurowszego egocentrycznego nacjonalizmu, który wszystko, co nie jest rumuńskie, a szczególnie *Żydów* zupełnie wyłącza. Jego postać robi wrażenie młodzieńczej. Uderza w nim gotowość do największych ofiar na rzecz sprawy. Członkowie „Żelaznej Gwardii“ związują się z nim przysięgą — kapitan Codreanu ma już swoją legendę, jest wcielonym mytem. Jego wola jest prawem, a z pewnością wiele dziesiątek tysięcy liczące rzesze jego zwolenników lecą na skinienie wodza. W swojej książce bojowej, zwróconej do legionistów, Codreanu broni się przeciwko zarzutowi naśladowania wzorów zagranicznych, wskazując, że dwadzieścia lat temu jeszcze stworzył swoją organizację w dzisiejszej postaci.

Program walki Codreanu'a zwrócony jest w pierwszym rzędzie przeciwko istniejącym stronnictwom, którym on zarzuca cały szereg win. Codreanu walczy o czystość w administracji. Zwalczanie Żydów jest tylko *jednym* punktem jego programu, ale punktu tego używa Condreanu jako najbardziej skutecznego środka propagandy.

„Żelazna Gwardia“ albo — jak się ona jako stronnictwo polityczne nazywa — „Totul pentru Tara“ jest najjaskrawszym przeciwstawieniem współzawodniczącej z nią partii narodowo - chrześcijańskiej profesora Cuza i pana Goga. Bezsprzecznie *większość* młodzieży należy do stronnictwa Cordenau'a, partia narodowo-chrześcijańska natomiast rekrutuje się z elementów mniej więcej drobnomieszczańskich (podobnie jak dawna chrześcijańsko - społeczna partia we Wiedniu).

„Totul pentru tara“ zatrudnia też swoich członków (budowa ulic, kościołów, własnych domostw i gospodarstw) i uchodzi za partię polityczną, która się jeszcze nie ważyła i posiada duży zasób sił. Kto patrzy otwartymi oczyma, traktuje tę partię i jej wodza nader poważnie.

V.

Żydzi rumuńscy nie mają żadnych złudzeń co do tego, co ich czeka, jeśli jedna albo druga grupa tych skrajnie prawicowych stronnictw stanie u steru. Wpływ tego skrajnego nacjonalizmu jest jednak już dziś tak wielki, że *rzuca cień dokoła* i że rozpoczęta przezeń walka z Żydami pociąga za sobą i *inne* większe czy mniejsze, więcej czy mniej demokratyczne stronnictwa, dla których staje się ona wzorem. I demokratyczne ugrupowania chcą pokazać, że są dobrymi nacjonalistami. Nastroje antysemickie wzmagają się coraz to bardziej, a coraz to rzadsze i coraz to bardziej są głosy przewodzących mężów stanu, którzy przestrzegają przed tak przesadnym nacjonalizmem i przed metodą uważania Żydów za główną czy rzeczywistą przyczynę niedoli, przed metodą obarczania ich odpowiedzialnością za grzechy administracji.

Jakkolwiek dotąd konstytucja nie uległa żadnym zmianom, a pozostałe partie w państwie mają dość siły, aby ją ochronić, — to jednak już dziś wbrew prawnie istniejącej równości wszystkich obywateli — również i mniejszości — w drodze administracyjnej czynione są próby *uprzywilejowania większości narodowej* również i w gospodarce prywatnej, wobec czego wywiera się presje na przedsiębiorstwa mniejszości, a więc Węgrów, Niemców i Żydów, by przede wszystkim połowę posad obsadzały rdzennymi Rumunami. Na istnieniu tego frontu, który zwrócony jest przeciwko wszystkim mniejszościom, polega *pozytywna* strona nacjonalizmu, wyrażona przez hasło: „Rumunia dla Rumunów“.

Z surowością przeprowadzana jest formalnie techniczna rewizja spisu obywateli, co — z przyczyn, zbyt obszernych, by je te wyłuszczać — godzi szczególnie w Żydów.

Antysemityzm zatacza coraz szersze kręgi, chociaż nie ma w kraju nędzy gospodarczej — w kraju panuje teraz wysoka koniunktura — ani też Żydzi nie postępują w jakiś szczególny sposób. A przecież to jedynie mogłoby być zrozumiałą tego zjawiska przyczyną.

LEOPOLD HALPERN

To jest chwila Samsona...

W publicystyce syjonistycznej i na syjonistycznych zgromadzeniach ludowych ostatnio nie mówi się prawie o wewnętrznych, spornych zagadnieniach, które jeszcze do niedawna tak silnie absorbowały umysły i uczucia mas żydowskich, skupiających się wokół poszczególnych kierunków ideowych naszego ruchu narodowego. Nie znaczy to, że zagadnienia te przestały istnieć, że wśród odrębnych klasowo, religijnie czy ideowo-politycznie ugrupowań żydowskiego ruchu wyzwoleńczego nastały mesjaszowe czasy. Nie, sporne sprawy problematyki życiowej i politycznej istnieją nadal. Nie przestała istnieć mnogość zagadnień socjalnych społeczności żydowskiej w Palestynie, istnieją nadal różnice zdań w przedmiocie konfliktów, które mogą zachodzić pomiędzy niektórymi nakazami religii a potrzebami zbiorowego życia, nie wygasły też światopoglądowe odrębności w pojmowaniu ideologii i zadań centrum syjonistycznego.

Nie znaczy to też, aby ten wewnętrzno-polityczny rozejm miał spowodować osłabienie tętna życia syjonistycznego. Wręcz przeciwnie! Mimo wyeliminowania na pewien czas spraw, wokół których na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat wyładowywało się tyle namiętności i, często, zacietrzewienia politycznego, mimo trudnej pod każdym względem aktualnej sytuacji Palestyny (albo może właśnie dlatego?), dawno już nie mieliśmy tak silnego ożywienia w naszym obozie i dawno to ożywienie nie uzewnętrzniało się w tak twórczych formach, jak obecnie.

Zwłaszcza w Polsce. Tu syjonistyczny sezon polityczny rozpoczął się bardzo wcześnie, jeszcze jesienią, a obecne jego natężenie wskazuje, że będzie to w tym roku naprawdę wielki sezon. Liczne imprezy organizacyjno - propagandowe stronnictw i organizacji syjonistycznych, uroczystości, które przekształcają się w manifestacje wierności dla syjonizmu, przyjazdy najwybitniejszych osobistości w ruchu i w „Jiszuwie“, liczne konferencje prasowe, czynna i przodująca akcja stronnictw syjonistycznych na doniosłym dla całego żydostwa polskiego odcinku Kongresu Żydowskiego. w Polsce, wreszcie przedsięwzięcie, pozbawione dotąd precedensów i pod każdym względem wspaniale udane: wielka Konferencja Palestyńska Żydostwa Polskiego, na której tysięczna rzesza delegatów wszystkich propalestyńskich elementów naszego społeczeństwa zetknęła się bezpośrednio z najwyższymi dostojnikami i najsilniejszymi indywidualnościami żydostwa palestyńskiego — to dotychczasowe przejawy wzrostu aktywizmu syjonistycznego, który dokonał się równolegle do wzrostu powagi sytuacji zewnętrznej syjonizmu.

Troska o ten najdonioślejszy dziś odcinek szerokiego frontu naszych zmagań narodowych góruje niepodzielnie nad wszystkim. Przejawia się to nawet zewnętrznie w radykalnej zmianie kierunku zainteresowań opinii i mas żydowskich. Na konferencji prasowej z reprezentantami „Jiszuwu“ dziennikarze żydowscy nie pytali się tym razem o różnice pomiędzy grupą „A“ i „B“, o postulaty rytualne „Mizrachi“, albo o „dyktaturę“ lewicy w Palestynie, ale o zagadnienia polityczne innej zgoła wagi gatunkowej: jakie jest rzeczywiste podłoże i charakter ruchu arabskiego, jaka rola wpływów obcych w Palestynie na tle sytuacji międzynarodowej, czy plan podziału Palestyny jest aktualny w równym stopniu i w tej samej postaci, jak w okresie XX Kongresu, jaka jest sytuacja gospodarcza Palestyny, jakie widoki imigracji? Te same zainteresowania dominowały wśród setek delegatów na konferencję palestyńską, one też ożywiają najszersze sfery społeczeństwa żydowskiego w Polsce.

W postaci twórczej zainteresowania te konkretyzują się na dwóch odcinkach: taktyki wobec terrorystów arabskich oraz akcji konstruktywnej pomocy dla „Jiszuwu“. W sprawie pierwszej opinia całego społeczeństwa żydowskiego, z wyjątkiem elementów anarchii rewizjonistycznej, jest jednolita. Wypowiedzieliśmy zdecydowaną walkę mącicielom spokoju i walkę tę prowadzimy z bronią w ręku. W odpowiedzi na akty ślepego terroru, domagamy się od rządu uzbrojenia „Jiszuwu“, jako najlepszej gwarancji powodzenia tej walki, w którym przecież rząd palestyński winien być przede wszystkim zainteresowany. Odrzucamy zarazem, kierując się obok elementarnych zasad moralności równie elementarnymi założeniami rozsądku politycznego, wszelką akcję odwetową wobec ludności arabskiej, jako takiej. Samoobrona fizyczna i samoobrona polityczna są dziś głównymi zadaniami żydostwa palestyńskiego, ale w równym stopniu: obozu syjonistycznego na całym świecie i mas żydowskich, które prowadzi.

Z zadaniem tym jest ściśle związana akcja pomocy żydostwa światowego dla tak ciężko dziś walczącego żydostwa palestyńskiego, dla Żydowskiej Palestyny. Wtej płaszczyźnie winna się wyładować twórcza energia pro-palestyńska mas żydowskich, której przypływ dziś tak wyraźnie widzimy. Pozytywne przemiany w naszym obozie nie powinny ograniczyć się do samej tylko psychologicznej jedności syjonistycznej, do samego tylko skoncentrowania się zainteresowań wokół zagadnień najistotniejszych — pozytywne przemiany winny się uzewnętrznić we wzroście rzeczywistych, realnych i materialnych wysiłków wspierania dzieła naszej odbudowy w tych przełomowych chwilach, kiedy ważą się jego przyszłe losy.

Albowiem okres, w którym się znajdujemy, jest decydujący dla Palestyny, dla syjonizmu, dla całego narodu żydowskiego.. Nadchodzące miesiące zimowe winny przynieść dalsze decyzje polityczne, które może już wkrótce umożliwią nam budowę pierwszych zrębów państwowości żydowskiej. Musimy więc być gotowi, musimy być silni, musimy też być bogaci w środki materialne, jak może nigdy przedtem.

Jak to pięknie wyraził Wieszcz polski: „Dziś jest chwila przeznaczona, dziś najsilniej wytężę duszy mej ramiona. To jest chwila Samsona, kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny...“ My, Żydzi, przeżywamy dziś taką chwilę: osaczeni przez wszystkich, przywiązani do kolumny getta, prześladowań i ucisku, pozbawieni wzroku własnej woli i własnej władzy politycznej. W takiej chwili przeznaczonej jest dla nas jedno tylko wyjście i jeden ratunek: najsilniej wytężyć duszy ramiona, aby mocarnym pchnięciem zwalić tę kolumnę niewoli i diaspory, aby wyrwać się ku Wolności na własnej Ziemi i we własnym Państwie, którą mieć możemy, jeśli tylko będziemy jej godni.

Czy w chwili przeznaczonej Żydzi będą tak małoduszni, tak zaślepieni i tak wobec własnej przyszłości lekkomyślni, aby instynktownie nie pojąć, że nasze „wytężenie ramion duszy“ — to rzeczywista pomoc dla Palestyny, której losy właśnie się ważą?

Prof. Dr. HUGO BERGMANN
Jerozolima

„Jak wszystkie narody“ - czy też...?

W przededniu święta Sukot ukazał się w palestyńskim „Davarze“ wielki poemat w heksametrze *Dawida Szymonowicza* p. t. „*Gideon*“. Poeta omawia zagadnienie młodzieży, należącej do drugiego pokolenia, wyrosłego w Palestynie. Mówią oni po hebrajsku w tak naturalny sposób, „jak gdyby byli samym prorokiem Jezajaszem.“ Wśród zabaw w najdosłowniejszym tego słowa znaczenia osiągają oni ten poziom, którego nie dostąpił ani Bialik, ani Jehuda Halewi. Generacja ta karmi się bezpośrednio u źródeł istoty judaizmu i nie potrzebuje już owych „kanałów“ i sztucznych „dopływów“, kierowanych przez naszych przodków w imię użyźnienia życia żydowskiego w diasporze sokami żywotnymi. Generacja palestyńska dotrze bezpośrednio do błogosławionego źródła napoju życiodajnego. Pośrednictwa nie są więcej potrzebne.

Nie są więcej potrzebne? Poeta wypowiada *wątpliwości*, które często się słyszy: może te wolne dzieci naszego odrodzenia są uboższe na duszy od dzieci galutu, może brak im owej *głębi*, którą tylko wśród nędzy osiągnąć można, owej tęsknoty za blaskiem, co znana jest tylko żyjącym wśród ciemności, owego parcia ku niewypowiedzianej słodyczy wyzwolenia, owego pragnienia świętości i czystości, co przypadły nam w dziedzictwie? Brak im, mówi się, powagi i owej bystrości umysłu, które z dawien dawna wyróżniały dzieci żydowskie w diasporze. Są oni powierzchowni i lekkomyślni, a ich horyzont duchowy jest wąski. Ale poeta *rozwiewa* te wątpliwości — jego poemat został napisany w imię ich rozwiania. Jest to pełna miłości *apoteoza* tak często i tak surowo oskarżanej młodzieży palestyńskiej. Młodzież ta pracuje. Nie zna ona przepisów Talmudu o żniwach, ale sama pracuje przy żniwach. Serce poety poczyna mocniej bić na myśl o ciężkim zadaniu, spoczywającym na barkach tej młodzieży: przerzucić most wieczności, którego jeden przyczółek — przeszłość — jest złamany, a którego drugi przyczółek jest otoczony mrokami przyszłości; części składowe środka mostu wiszą drżące i słabe nad płonącą teraźniejszością. Ten rozerwany most ma odbudować nasza młodzież. A zadania tego młodzież palestyńska dokona w prostocie uczucia zwykłego ludu ziemi („Am Haarec“), uczucia miłości Ojczyzny i zakorzenienia we własnej ziemi. Gdy wybije godzina, która nie jest już daleka, z tą samą naturalnością, z którą dzisiaj orzą i sieją, oddadzą oni swe życia w obronie swej brózdy. Z taką naturalnością ptak wije swe gniazdo, tak broni się zakorzenione drzewo przeciw burzom. Tu osiąga się w sposób naturalny przeświadczenie, że jest się Żydem; pokolenie to jest pierwszym, które wyzwoliło się z galutowej problematyki.

Poemat ten jest jasnym wyrazem ideologii, reprezentowanej przez literaturę hebrajską ostatniej generacji — z wielkimi wyjątkami Achad Haama i Bialika — która stała się ideologią „Jiszuwu“ i wielkich części ruchu syjonistycznego. Naród żydowski winien być „znormalizowany“, winien być narodem, jak inne narody. Formy życia żydowskiego w galucie są negowane, czy to z pogardą, czy też, jak u Szymonowicza, z szacunkiem i czcią, jako dopływy, które są już zbyteczne, ponieważ dotarliśmy do źródeł.

Hermann Cohen wykpiwał za tę ideologię syjonistów: „ci chłopcy chcą być szczęśliwi.“ Szyderstwo to jest niesprawiedliwe. Aby naród żydowski w Palestynie nie był „szczęśliwy“ w sensie powierzchownym, o to stara się już — odpowie Szymonowicz — historia. Ma on na myśli krwawą rozgrywkę pomiędzy Arabami a Żydami, w imię której młodzież żydowska będzie musiała złożyć największą ofiarę. Nie jest więc to banalne szczęście, ale mimo to w przepojonych sarkazmem słowach Szymonowicza jest dużo prawdy. Owo pragnienie normalizacji bierze początek w tęsknocie za ulżeniem ciężkiego ciężaru przynależności do żydostwa, w tęsknocie za uczynieniem z Żydów prostego narodu chłopów. Nie darmo Szymanowicz posługuje się tu dwuznacznym słowem „Ame-aracut“ (lud rolniczy ale zarazem: niewiedza).

Posłużyliśmy się tu przykładem Szymanowicza, albowiem na tle negacji tendencji normalizacyjnych nowoczesnej literatury hebrajskiej i wielkiego odłamu syjonizmu można będzie ocenić całą wielkość znaczenia *S. J. Agnana.* On odszedł od sztandarów nowoczesnej literatury hebrajskiej. Z wielkim radykalizmem zrobił on skok w tradycyjny świat żydostwa, w cztery ściany „Halacha“; nie w imię beletrystycznego czy sentymentalnego wyzyskania tychże, tak jak czyniło to wielu, ale w imię wyżycia się w ich atmosferze. Rewolucja była tym większa, im potężniejszy twórczy geniusz Agnona.

Jeśli dawniejsze utwory poetyckie tylko lekko podkreślały tę przemianę, a pobożność Agnona można było rozumieć jako pewien styl — to obecnie nie jest już to możliwe po ukazaniu się książki „Jomim Noraim“, w której poeta identyfikował się z światem wiary. Trzy lata życia poświęcił Agnon na napisanie tej książki o „strasznych dniach“, przeszło tysiąc książek opracował z myślą o niej. Jest to prawdziwy skarb, który *wszystkich* nas zbogacił, pobożnych i niepobożnych, Żydów i nie-Żydów. Najsilniej przepojone religijnością dni naszego roku — Rosz Haszana, Jom Kipur i miesiąc Elul — oddane są tu w ich zwyczajach i obyczajach, w modlitwie, wierzeniach i zabobonach, w anekdotach i opowiadaniach, potrawach i napojach. Sam Agnon usunął się w cień.

Charakterystyczne, że Agnon napisał przedmowę w swoim i w swojego ojca imieniu. Czuje się on tylko ogniwem w długim łańcuchu. Wszystko jest dlań owiane świętością. Czy zajmuje on niekiedy krytyczne stanowisko? Czytelnik tego nie odczuwa. Historyk religii i psycholog znajdą u Agnona bogaty materiał, ale w tym najmniej przejawia się znaczenie książki. Niebywałe zasoby piękna poetyckiego znajdujemy w licznych małych anekdotach, ale i to nie jest najdonioślejsze. Ważne jest, że najdonioślejsze dni żydowskiej religijności przedstawione są niczem wielki pałac, do którego możemy wejść i oddychać powietrzem tysiącleci. Na pytanie, czemu w modlitwach Rosz-Haszana pamiętamy o ofierze Izaaka a nie matki, która ofiarowała siedmiu swych synów na chwałę Imienia Bożego, Agnon odpowiada: przez gotowość do spełnienia nieprzyjętej ofiary swego jedynego syna Izaaka, Abraham zaszczepił w sercach swych dzieci wolę poświęcania się dla chwały Bożej. Ofiara Izaaka jest źródłem wszystkich ofiar i poświęceń późniejszych pokoleń. Pokolenie po pokoleniu przykładało się do tej budowy. To wydarzenie, które miało miejsce u początku naszej historii i uczyniło nas „narodem wybranym“ stało się źródłem paradoksalności naszego narodu.

W pewnym miejscu książki Agnona wspomina się, że wbrew wyraźnemu zakazowi poczęto w Jom-Kipur chodzić w skórzanym obuwiu do synagogi, motywując to obawą narażenia się na pośmiewisko narodów. Na to odpowiada Agnon: „Nigdy nie słyszeliśmy, aby spowodu szyderstw narodów świata miano naruszać przykazania religijne. Czyż tylko dlatego śmieją się z nas? Dzień w dzień jesteśmy pośmiewiskiem w oczach naszych sąsiadów, a nasza służba religijna jest obca w ich oczach.“.

Tylko za cenę samoofiarowania i samozaparcia się możemy stać się podobni do innych narodów.

Książka Agnona jest napisana w pełnej świadomości tej *anormalności*, która zaczyna się u granic Palestyny, jest kontynuowana w diasporze i nie ma być zniesiona po naszym powrocie do Palestyny. Dzieje żydowskie stanowią dlań wielką jedność. Stąd jego wewnętrzne związanie się z diasporą we wszystkich jej częściach, tak wyraźnie w książce tej podkreślone. Na jednej stronie znajdują się obok siebie historie i opis zwyczajów z Erfurtu, Zanai, w Jemenie i Sącza w Galicji.

Książka Agnona, nie ukrywajmy tego przed sobą, jest wielkim wyzwaniem pod adresem tych, którzy z Achad-Haamem i Bialikiem nie mogli złożyć ofiary swego intelektu i uczynić tego skoku, na który odważył się Agnon, pozostając krytyczni wobec wyżej charakteryzowanego materiału literackiego. Możemy wiele z tych wartości wprowadzić do naszego życia. Książka jest jednak przede wszystkim wielkim wezwaniem pod adresem hebrajskich czytelników Palestyny. Czy ci młodzi, których Szymonowicz tak chwali za to, że równo prowadzę swą bronę po gorącej ziemi, albo ich dzieci — będą jeszcze mogli czytać tę książkę? Oto wielkie, może decydujące pytanie.

J. Bleiberg

I. Manger - poeta folkloru i groteski

W sporze o istotę stylu narodowego w literaturze i sztuce ustalił się już ostatecznie pogląd, według którego jego źródłem i prawzorem może być tylko twórczość ludowa. Jej bezwzględna szczerość i bezpośredniość w ocenie ludzi i wydarzeń, naiwność formy, niezależnej prawie zupełnie od literackich reguł i konwencji, sprawiają, że jest ona wiernym odzwierciedleniem narodowej psychiki, literackim wyrazem jej swoistości i odrębności. Specyficzne cechy charakteru narodowego nie przejawiają się w samej tematyce utworów ludowych. Cały bowiem szereg motywów i wątków jest wspólnym literackim dobrem różnych narodów i trudno byłoby stwierdzić komu z nich przysługuje tytuł do ryginalności. Psychika ludu nie wyraża się za tym w samym motywie, lecz w jemu tylko właściwym jego naświetleniu. I dlatego tematyka nie ma znaczenia dła problemu stylu narodowego. Jak zawsze w dziedzinie twórczości artystycznej nie co, lecz jak jest głównym kryterium oceny. Można stworzyć dzieło sztuki, oparte na motywie wybitnie narodowym, a pozbawione zupełnie istotnych znamion stylu narodowego. Bardzo wielu artystów i pisarzy opracowywało motywy biblijne, z czego bynajmniej nie wynika, że tworzyli oni sztukę żydowską.

Wybitnym przedstawicielem stylu narodowego we współczesnej poezji żydowskiej w tym sensie, w jakim jest nim Chagall w malarstwie, jest Icyk Manger. Dotyczy to w najsilniejszym stopniu dwuch jego tomików: Chumesz Lider i Megile Lider. Nim przystąpimy do bliższego ich omówienia, chcemy zaznaczyć, że są one w naszej literaturze zupełnie bez precedensu. Podkreślenie ich charkateru ludowego nie wyczerpuje, ani nie przesądza sprawy artystycznej ich wartości. Manger bowiem nie jest ani pierwszym, ani jedynym żydowskim poetą, patrzącym na świat oczyma ludu i czerpiącym ze skarbnicy jego twórczości. Daje on natomiast zupełnie nową i oryginalną koncepcję ludowości, wzbogacającą pierwiastek ludowy literatury żydowskiej o nowy nieznany dotychczas aspekt.

Przed Mangerem zarysowały się trzy zasadnicze koncepcje ludowości: folklorystyczna (An-ski), odtwarzająca zwyczaje i obyczaje ludu z naukową ścisłością na podstawie zebranego folklorystycznego materiału opowieści, żartów, przysłów i t. p. romantyczna (Perec, Berdyczewski), stylizująca ludowy prymityw przez poddanie go literackiej „obróbce” i pogłębienie jego moralnych założeń, jak to np. ma miejsce w ludowych i chasydzkich opowieściach Pereca i wreszcie realistyczna, przedstawiająca z naturalistyczną ścisłością życie mas ludowych, ich sposób myślenia i odczuwania. (Mendełe Mojcher Sforim, Szolem Alejchem, Asz i inni). Manger zaś daje w wymienionych wyżej tomikach artystyczną transpozycję elementów teatralno - groteskowych literaruty ludowej.

Czyni on to na przykładzie Biblii, która jest dla ludu naszego nie tylko źródłem wiary religijnej, lecz także pierwszym silny literackim przeżyciem. Ona dostarcza żydowskiemu dziecku najwcześniejszych i najgłębszych wzruszeń, wywierających nie mały wpływ na rozwój sfery emocjonalnej dziecięcej psychiki. Któż z nas nie przeżywał głęboko tragedii Józefa, nie opłakiwał przedwczesnej i nagłej śmierci Racheli, nie był wstrząśnięty dramatyczną sceną pożegnania przedśmiertnego Jakóba z synami i t. p.?

Na przestrzeni dziejów Biblia poddana została różnym „zabiegom” interpretacyjnym. Wykładano ją alegorystycznie i symbolicznie, racjonalistycznie i mistycznie. Naiwną w gruncie rzeczy opowieść o stworzeniu świata interpretowano filozoficznie w duchu Platona i Arystotelesa (Filon Aleksandryjski, Majmonides). Inaczej natomiast odnosi się do niej lud. Jego stosunek do świętej księgi jest bardziej bezpośredni, intymny, ludzki. Nie zna się on na alegorystycznych kruczkach i powikłanej symbolice teologów. Postaci biblijne są dlań żywymi ludźmi, a nie bezdusznymi abstrakcjami. Akcję Pisma Świętego przenosi do swego środowiska, „regionalizuje” ją, wchodząc w ten spoób w bliski uczuciowy kontakt z bohaterami biblijnego eposu. Pochwala ich lub potępia zgodnie ze swym zdrowym zmysłem moralnym. Ten regionalizm w ujmowaniu Biblii jest wspólną cechą folkloru wszystkich narodów europejskich. W polskich „Pastorałkach” i misteriach wielkanocnych, t. z. sztukach pasyjnych, biblijni praojcowie i apostołowie stylizowani są na polskich chłopów. Adam nosi kożuch, Ewa doi krówki, a złośliwi pomawiają ją nawet o jakieś erotyczne konszachty z młodym, przystojnym parobkiem, służącym w pobliskim dworze... I w twórczości naszego ludu, w pieśniach, purymowych intermezzach, sztukach ludowych i t. p. patriarchowie noszą szaty getta, mówią jego językiem, myślą jego kategoriami. Naiwność i intymny prymitywizm ludu, ukazane w krzywym zwierciadle parodii i groteski i prześwietlone gorącym umiłowaniem ludowości, są właściwą literacką substancją wymienionych wyżej tomików parodii biblijnych Mangera. Czapka błazeńska purymowego wesołka i lirycznie - pobożny nastrój Żydówki, schylonej w skupieniu nad tygodniowym rozdziałem „tajcz chumesz” patronują mangerowskim wierszom, które poeta sam określa w przedmowie jako swawolną igraszką z brodami praojców, jako intermezzo na drodze do pełnej wizji balladowej, stanowiącej właściwy genre jego twórczości.

Akcja biblijna rozgrywa się w „Chumez Lider” Mangera na tle krajobrazu, znanego poecie z jego lat dziecinnych. Łąki, pola i sady zastąpiły w niej egzotykę Wschodu. Patriarchowie przedzierzgnęli się w małomiasteczkowych Żydów, a biblijne matki w małomiasteczkowe matrony, czytające w sobotę po „czulencie” „Ceno-Ureno”... Są one naogół bardziej światowe i zasymilowane od prostych i rubasznych praojców. Lea czyta ukradkiem, książki świeckie i zna nawet najnowsze powieści kryminalne... Patriarcha Jakób śpiewa w letnie wieczory miłosne serenady pod oknem Racheli.

Nawet staremu Abrahamowi Terachzonowi (synowi Teracha) nieobcy był magnetyzm serca. Wybierał się z Hagar na długie spacery wzdłuż toru kolejowego.... Anachronizmy Magnera są niezwykle pomysłowe i dowcipne. W niektórych osiąga on szczyty komizmu i groteski. W swej wędrówce, po opuszczeniu domu Abrahama, spotyka Hagar karawanę, na której czele kroczy sułtan turecki, rozpoznający w nałożnicy Abrahama służebnicę Ibrahima, a w małym jej synku protoplastę swego rodu... Józef nie uległ pokusom Putyfary, gdyż ukazała mu się postać kierownika jeszybotu, w którym się uczył za czasów swej młodości... Jakób, czekający na Rachelę przy studni, odczytuje odpowiednie partie z Biblii, aby się upewnić, czy nie zabłądził...

W „Pieśniach biblijnych” udało się poecie nietylko rozśmieszyć nas w wielu wypadkach do łez, ale i głęboko wzruszyć i skłonić do zadumy i refleksji, dyskretnym niedomówieniem, ledwo zaznaczonym obrazem, mimochodem wtrąconą pointą. Po mistrzowsku wydobył on pierwiastek humorystyczny naiwności ludu i prymitywizmu jego myślenia, podkreślając jednocześnie ich pozytywne walory: szczerość, bezpośredniość, serdeczność, naturalność i prostotę. Dzięki temu groteska skojarzyła się z powagą, komizm z liryzmem o zabarwieniu heinowskim, żart z dramatem. Niejednokrotnie wszystkie te tak bardzo różnorodne elementy występują w jednym utworze, tworząc harmonijną artystyczną całość, co jest chlubnym świadectwem właściwego Mangerowi poczucia artystycznego umiaru.

Urągając świadomie i con amore najelementarniejszym zasadom historycznej prawdy, nie grzeszą „Chumesz Lider” jednak przeciwko prawdzie psychologicznej. Mimo dominującej w nich tendencji groteskowej, postaci w nich występujące nie są marionetkami, lecz żywymi, czującymi ludźmi. Ten też realizm psychologiczny zadecydował o wysokiej klasie mangerowskiego humoru. Obok folkloru i groteski występuje w wierszach biblijnych także pierwiastek balladowo - romantyczny. Znajduje on swój wyraz w podkreślaniu romantycznego piękna zmierzchu, w akcentowaniu tajemniczości i metafizycznego uroku nocy, w upodobaniu do niepokojącej wzniosłości i poetyckiego patosu dali oraz w zamiłowaniu do niedomówień. Wymienione elementy romantyczno-balladowe są ogniwem, łączącym parodie biblijne Mangera z dotychczasowym jego poetyckim dorobkiem.

Do tego samego genre'u co „Pieśni biblijne” należą wiersze, poświęcone księdze Estery — „Megiłe Lider”. Tu poeta miał zadanie w pewnym stopniu ułatwione, gdyż rozporządzał dużym folklorystycznym materiałem. Nawiązując do dawnych krotochwil i interludiów purymowych, przepuszcza ich płytki, czysto sytuacyjny humor, przez filtr literackiej stylizacji. W surowym ludowym materiale oddziela starannie kruszec od rudy, prawdziwy humor od zwykłej błazenady, szczere uczucie od teatralnej pozy, głęboką myśl od pustej gadaniny. Do ustalonej tematyki ny motyw: miłość czeladnika krawieckie-purymowej wprowadza nowy romantyczgo do królowej Estery, z którą zakochany mistrz igły gotów jest ożenić się nawet bez posagu... Jak w „Chumesz Lider” parodia i groteska kojarzy się i tu z głęboko ludzkimi akcentami, pusty beztroski śmiech ze smutkiem i rozpaczą krawieckiego „Werthera” i jego nieszczęśliwej matki, opłakującej śmierć syna, którego szaleńcza, romantyczna miłość zaprowadziła na szubienicę.

Poeta nie poprzestał na „demokratyzacji” polityczno - dworskiej akcji „Megiły” przez wprowadzenie do niej wątku ludowego. Dodał do niej także pewne akcenty „socjalne”. Swoje purymowe intermezzo kończy słowami klątwy biednej matki straconego czeladnika, jej żywiciela, skierowanymi przeciwko Esterze i jej bogatego wuja, eksploatującego swoje pokrewieństwo z królową dla celów interesu i kariery, dla popłatnych interwencji u miarodajnych czynników. W wierszach purymowych element grotseki i parodii jest znacznie silniejszy, niż w wierszach biblijnych, co wynika z samej już teatralno - karnawałowej tradycji tego najweselszego żydowskiego święta.

W swym zainteresowaniu dla twórczości ludowej nie ograniczył się Manger do filkloru żydowskiego. Świadczy o tym tomik przekładów najbardziej charakterystycznych pieśni ludowych 13 narodów p. t. „Felker zyngen”, stanowiący cząstkę zamierzonej obszernej antologii. Im bardziej zastanawiam się nad istotą i sensem poezji — pisze poeta w przedmowie — tym bardziej rozumiem znaczenie i tym wyrazistsze staje się dla mnie piękno pieśni ludowej. Dzięki zastosowaniu odmiennej rytmiki i różnego w poszczególnych wierszach obrazowania i wyrażania, udało się poecie wydobyć swoiste piękno każdej z tłumaczonych ludowych pieśni. W rozumieniu i odtwarzaniu ludowej piosenki serbskiej, bułgarskiej czy murzyńskiej okazał się nasz poeta niemniejszym mistrzem, niż w artystycznej interpretacji folkloru żydowskiego. Jest on bowiem natchnionym piewcą wszelkiej ludowości.

STER MŁODYCH

> *„POLSKA ODRODZIŁA SIĘ Z KRWI I PRACY MĘCZENNIKÓW PO TO, ŻEBY NA MIEJSCU, GDZIE STAŁA CIEMNICA NIEWOLI ROZPOSTARŁO SIĘ NAJJAŚNIEJSZE PRACOWISKO POSTĘPU."*
>
> *Stefan Żeromski*

MIGAWKI

Caeterum censeo...

Od pierwszej chwili istnienia Syjonizmu, od jego pierwszych kroków po przez cały krzyżowy i triumfalny pochód do progów państwa żydowskiego towarzyszą mu okrzyki jego przeciwników, że zbankrutował. Wrogowie syjonizmu z matematyczną dokładnością dowodzili, iż każda przeszkoda, jakiekolwiek najbardziej błahe bodaj niepowodzenie stanowią koniec idei syjońskiej i kres „mrzonek zaślepionych syjonistów". Gdyby obliczyć ilość bankructw, gdyby się znalazł szperacz, któryby zestawił daty i przyczyny „likwidacji eksperymentu syjonistycznego" — powstałby z tego gruby kilkutomowy elaborat.

Napisano niezliczoną ilość dzieł i broszur omawiających najróżniejsze zagadnienia kolonizacji, odbudowy, polityki palestyńskiej. Każdemu problemowi poświęcono setki rzeczowych rozpraw i referatów; a problematyka syjonistyczna jest niezmiernie bogata. Dokładnie już wiemy jak wyglądać będzie Palestyna jeśli będziemy trzymać się teoryj Ruppina lub recept Soskina; doskonale orientujemy się ile osób można będzie skolonizować na 1 km² po przyjęciu takich lub innych poprawek do praktyki tego lub inego departamentu egzekutywy; wiemy jakie jeszcze bogactwa kryją się przed nami w kraju, lub co może nam dać Genezaret, i jakie z tego popłyną korzyści.

Ale... O tym wszystkim wiemy my, *syjoniści*.

*

Bo cała ta literatura napisana we wszystkich językach świata nie wyszła jeszcze po za ramy syjonistów, nie osiągnęła mas żydowskich. Mas, które zostały przez syjonistów zaniedbane.

Liczni przywódcy syjonistyczni, różni przywódcy partyj lub organizacyj nie szukali kontaktu z masami. Często pracowali nad rozbudową własnej organizacji kosztem innej, a nie przez wciągnięcie nowych, od syjonizmu oddalonych elementów. Często zasklepiali się we własnym gronie i wykańczali w pilpulistycznych dyskusjach nad „koco szel jud" jakiegoś nieistotnego niuansu odróżniającego ich od konkurencyjnego syjonizmu. Raczej — bardzo często — sprowadzano bojówki na zebrania przeciwników, zrywano ich wiece propagandowe, rozbijano zebrania uświadamiające.

O tak! Nikomu ze świadomych i zorganizowanych syjonistów nie można zarzucić uchylania się od pracy organizacyjnej. Tylko że działalność wielu z nich zbyt często była destrukcyjna.

Nie mówię tu oczywiście o chalucach. Ani nawet o tych masach syjonistycznych, które zdają sobie sprawę z tego, że po powrocie do Erec-Izrael, po osiągnięciu marzeń, — w których cieniu żyli i umierali oni i ich pradziadowie od wielu, wielu lat — nie należy ze sobą zabierać umysłowości i sposobu zarobkowania z Nalewek; że żydówka z bajglami lub handlarz z wodą sodową winni zginąć lub pozostać na Nalewkach. A w Erec, nawet w Tel-Awiwie znaleźć miejsca nie powinni.

*

Problem wychowania, zorganizowania mas żydowskich został przez wielu przywódców syjonistycznych zaniedbany. Tak samo jak inny, zazębiający się z tym — *problem młodzieży*.

Starsze pokolenie syjonistów nie zwracało uwagi na zapewnienie sobie przyszłych nowych kadr, któreby ze wzmożoną energią, z młodzieńczym zapałem dalej prowadziły ich dzieło. Nie zwrócili uwagi na to, by młodzież od nich nie odchodziła.

Ale młodzież sama sobie drogę torowała. Sama się organizowała, sama tworzyła swe organizacje i je rozbudowywała. Bez pomocy starszych, a niekiedy w walce ze starszymi (rodzice nie zezwalali wstępować do organizacji; za przynależność do organizacji syjonistycznej usuwano ze szkół!!!) prowadził walkę z wynarodowieniem z ideą czerwonej lub jakiejkolwiek innej asymilacji. Bez poparcia, a często nawet bez dobrego słowa rozbudowały się wielkie ruchy młodzieży żydowskiej, torowały sobie drogę do życia w diasporze i w Erec-Izrael — budowały sobie systemy ideowe. Młodzież sama urabiała sobie światopogląd i sama dawała sobie radę z przeszkodami piętrzącymi się jej po drodze.

Ale, gdy praca młodzieży poczynała wydawać owoce, gdy ruch — miało to miejsce we wszystkich organizacjach młodzieżowych od lewicy do prawicy — począł kroczyć swymi drogami, a członkowie jego odgrywać pewną rolę na zjazdach i konferencjach — poczęli sobie starsi młodszych kaptować. Poczęli głosić swe ideały. I dzięki „ideowym wpływom" starszego pokolenia młodzież się rozbijała; następowały rozłamy, secesje, umowy, a potym znów rozłamy... Młodzież bowiem tylko tego się od starszych nauczyła.

A mimo to starsi syjoniści nie uznali za stosowne zaintersować się nawet SWOJĄ młodzieżą. Nie pomagali jej w walce z elementami antynarodowymi, ani przyczyniali się do wzmożenia sił, do zwycięstwa właśnie ich młodzieży. Skoro zdobyto sobie młodzież — sądzili i sądzą starsi — to obowiązkiem tej młodzieży jest popieranie starszych w ich poczynaniach politycznych. Swoje sprawy młodzież sama potrafi załatwić. Przecież nikt ze starszych jej nie organizował, nikt do sjonizmu nie sprowadzał.

Kongres palestyński żydostwa polskiego, który obradował w Warszawie w dniu 21. XI.37 r. między innymi postawił sobie za zadanie naprawienie tych błędów. Mówiono o specjalnym resorcie młodzieży przy Organizacji Syjonistycznej, o stworzeniu międzyorganizacyjnej rady młodzieży. Chodzi o skoordynowanie wysiłków młodzieży, o współpracę na tych terenach gdzie *wszyscy stają do wspólnych zadań*. Tym razem starsza generacja syjonistów przyrzeka współpracę. Zobaczymy!

*

Także obowiązki wobec młodzieży i mas żydowskich nałożył Kongres Palestyński na przywódców syjonistycznych w Polsce. Zanims jednak ich działalność się rozpocznie, zanim nadejdzie okres czynów należy w masy wpajać wolę czynu, zdolność do poświęceń, myśl, że tak, a nie inaczej stać się musi.

Należy żydowskie masy przepoić ideą odrodzenia w taki sam sposób, jak Kato kiedyś przepoił Rzymian ideą zburzenia Kartaginy. Wszelkie nasze poczynania, wszystkie referaty zebrania, mowy na jakiekolwiek tematy musimy zakańczać naszą dewizą. Dewizą: *Caeterum censeo Hierosolimam esse restituendam.*

R. BAUM

NATAN JACOBI

O nową ideę w wychowaniu młodzieży

W ubiegłym tygodniu w lokalu Zrzeszenia Przedstawicieli Handlowych w Warszawie odbyła się *konferencja nauczycieli szkół żydowskich* z udziałem *poety Natana Bystryckiego z Jerozolimy i D-ra Janusza Korczaka.*

Konferencję, zorganizowaną przez Radę Nauczycieli przy *Keren Kajemet Leisrael w Warszawie,* zagaił *Dr. Jakub Aronson* witając licznie zebranych nauczycieli.

Z kolei zabrał glos Natan Bystrycki, który w pięknym przeszło godzinnym przemówieniu zobrazował ideały współczesnego wychowania młodzieży w diasporze.

„Moi koledzy! — zaczął mówca. — Najwięcej obawiam się zwolenników idei syjonskiej, bowiem oni najprędzej zniekształcają ją swoim szablonowym ujęciem. Przeciwnicy są mniej niebezpieczni, bo zmuszają nas do dalszego pogłębienia naszej pięknej ideologii. Niech mi wolno będzie przytoczyć anegdotę o chłopie, rzucającą jaskrawe światło na to, jak niektórzy zwolennicy rozumieją szczytne hasła syjonizmu.

Oto chłop pragnie dowiedzieć się z ust znajomego inżyniera, jakim sposobem lokomotywa ciągnie za sobą tyle wagonów i to bez konia. Po uważnym wysłuchaniu inżyniera, który dokładnie wytłumaczył chłopu jak działa maszyna, ten zapytał: *„ale w jaki sposób przywiązuje się konia do lokomotywy?"*

Boję się, że wielu naszych zwolenników rozumuje w podobny sposób, jak wspomniany chłopek".

W dalszym ciągu Natan Bystrycki obrazuje rozwój historii cywilizacji i kultury, o które walczyła wielka rewolucja francuska stwarzając harmonię pomiędzy obu tymi czynnikami głosząc wiarę w człowieka jako najszczytniejsze hasło. Dzięki zasługom rewolucji francuskiej został zachowany europejski charakter ludzkości. W tych czasach jasne promienie kultury i cywilizacji skoncentrowały się w szkole dając dziecku najszlachetniejsze wartości etyki ludzkiej. Wybuch wielkiej wojny światowej zniweczył wszelkie idealistyczne nastawienie ludzkości. Nastąpił dramatyczny kryzys w dziejach cywilizacji i kultury europejskiej. Po wojnie harmonia pomiędzy człowiekiem i produkcją jego została naruszona. Silniejsza maszyna zwyciężyła słabszego człowieka. Golem pokonał swego twórcę.

Gdy w przedrewolucyjnej Rosji powieszono człowieka, szlachetny myśliciel i wielki pisarz Lew Tołstoj porzucił swój warsztat pisarski i głośno powiedział: *„Nie magu małczat!"* („Nie mogę milczeć!"). Dziś żyjemy w czasach moralności hotentockiej: „Interesuje mnie osoba z mego obozu. Gdy morduje się człowieka z innego obozu jest mi to zupełnie obojętne." Jakież to wielkie spustoszenia w duszach młodzieży uczynił system wychowania w państwach o ustroju totalnym.

Naszemu dziecku żydowskiemu należy się *nowe wychowanie.* Jesteśmy w stanie permanentnej walki. Historia Żydów jest jedną wielką tragedią. Na przestrzeni ostatnich 50 lat przeżyliśmy asymilację i emancypację. Młodzież, której losy znajdują się w naszych rękach musi mieć wychowawców obowiązanych do wskazania jej dalszej drogi. Należy zwalczać współczesną asymilację, która jest tylko filisterstwem.

Nasze dzieci wrastają w społeczeństwo bez iluzji. Wiemy dobrze, że wrogowie nasi chcą nas wszystkich zgładzić! W tych warunkach iluzja asymilacji pryska, bowiem stała się ona dla Żyda „monologiem" („miłością bez wzajemności i bez partnera").

Gdzież więc znajdziemy nowe wartości w wychowaniu dziecka żydowskiego?

Wiemy z pedagogiki, że intelekt bez wychowania nie może istnieć. Nasz intelekt jest owocem tysiącletniej, kultury żydowskiej. *Musimy więc oprzeć się o jakąś ideę wychowawczą bez której upadnie szkolnictwo żydowskie.* Zastrzegam się jednak, że nie mam tut na myśli *idei politycznej.*

Żydowska rzeczywistość — to *EREC IZRAEL!* Ale i tam w dalszym ciągu przeżywamy tragedię naszego narodu.

Jestem Żydem nie dlatego, że się urodziłem nim, ale dlatego, że pragnę być Żydem.

Odrzućmy łupinę polityki z owocu, w którym tkwi kultura żydowska i skosztujmy go. Ten właśnie owoc niechaj będzie pokarmem duchowym młodzieży.

Gdyby nie istniała Erec-Izrael, należałoby ją wymyśleć dla naszego dziecka. A gdy nowa rzeczywistość ukazuje nam piękno odrodzonej Palestyny, nie odsuwajmy od niej młodzieży. Należy zbliżyć młodzież do odrodzonej Erec-Izrael, ale wystrzegajmy się *SZTUCZNEJ PROPAGANDY.* Nowa idea, zaszczepiona młodemu pokoleniu, nie może być egzotyczna: pomiędzy Palestyną a diasporą musi istnieć żywy kontakt.

Chcąc być w zgodzie z Freudem musimy pamiętać, że podświadomość ma więcej do powiedzenia, niż sama świadomość. Bądźcie szczerzy, przeciwnicy ideologii palestyńskiej, przyznajcie, że w swojej podświadomości uznajecie tę ideę. Pamiętajcie także, że tęsknota do kraju ojczystego tkwi w duszy każdego dziecka żydowskiego. Tego czynnika nie wolno nam lekkomyślnie zmarnować. Erec-Izrael — to podstawa wychowania w szkole żydowskiej. W szkołach „Tarbutu" ideę tę już dawno zrozumiano i dlatego szkolnictwo hebrajskie wydało tak piękne owoce" — zakończył swe przemówienie Natan Bystrycki.

Następnie zabrał głos *Dr. Janusz Korczak,* znakomity pedagog i subtelny znawca duszy dziecięcej. — „Gdybym chciał być poetą — zaczął prelegent — powiedziałbym, że świątynią, gdzie poślubiłem dziecko, była *WIEŚ.*

Po raz pierwszy zetknąłem się z dzieckiem żydowskim na kolonii czterdzieści lat temu. Nie znałem wówczas zupełnie języka żydowskiego. Nie rozumiałem dlaczego np. dzieci żydowskie nie chcą myć się w sobotę mydłem. Co mnie zdumiało już wtedy to fakt, że dziecko żydowskie, wbrew utartemu mniemaniu, *nie boi się wody, nie boi się psa.* Dzieci same właziły do psiej budy i chętnie bawiły się ze złym Brysiem.

Później zacząłem się przysłuchiwać ich piosenkom. Były smutne i tragiczne. Dzieci śpiewały o ofiarach pogromu kiszyniowskiego. To znów nuciły „weselszą" piosnkę *„Ojfn Prypeczyk".*

Wdałem się w rozmowę z najmłodszymi kolonistami. I oto dowiedziałem się sensacyjnych rzeczy. Dziecko żydowskie nie znało wsi. Konie w oczach dzieci były „maleńkimi konikami" (brak perspektywy). Spierano się czy kartofle rosną na ziemi czy pod ziemią. Dzieci nie znały motylków, nie znały tęczy. Oderwanie od wsi sprawiło, że dziecko żydowskie nie miało pojęcia o pięknie przyrody, a przecież dobroć natury i cisza wiejska wyzwalają najlepsze i najpiękniejsze uczucia w duszy ludzkiej.

Po raz drugi zetknąłem się z *dzieckiem dostojnym.* Było to w szpitalu. Przywieziono dziewczynkę, która gotując kaszkę dla młodszego braciszka, oparzyła się śmiertelnie. Uspakajałem małą pacjentkę, że to przejdzie, że będzie dobrze. O ona: „Nie, proszę pana, to nie przejdzie, ja umrę... Niech pan tylko nie powie mamie i ojcu, że oparzyłam się gotując kaszkę dla braciszka..."

Inny wypadek. Chłopiec - gazeciarz kopnięty przez konkurenta doznał pęknięcia wątroby. Na łóżku szpitalnym błagał, aby przed jego śmiercią pogodzili się ze sobą pokłóceni rodzice.

A teraz o dzieciach złych. Jeżeli w internacie na czele staną „drapieżnicy", to dobry będzie się wstydził swej dobroci. Jeden brutal wysuwający się na czoło naiwnej gromady zdemoralizuje całe zbiorowisko. Weźmy typ oszusta .Ten nie będzie nigdy prosił, po prostu sam weźmie — ukradnie. Kto robi największy bałagan podczas pauzy w szkole? Ci bezmyślni „bydlacy", którzy doprowadzają gromadę do stanu niepoczytalnego wrzenia.

Porównajmy dzieci z różnych środowisk: jednych z miasta, drugich ze wsi. Te miejskie boją się bandytów, a dle wiejskich największy strach — to pożar.

Żyjemy teraz w okresie *kłamstwa, błota i krwi.* W tych warunkach ciężką staje się praca wychowawcy. Zbrodnia dokonywana na 400 milionach *bezbronnych Chińczykach* to kłamstwo, błoto i krew! Czyż nie ma możności ugaszenia pożaru światowego?

Jakże nieszczęśliwą jest młodzież niemiecka i włoska o ustrojach totalnych? Kto zastanawia się nad tragedią o światowym masztabie? Wróćmy do dziecka żydowskiego. Skierujmy swój wzrok na Palestynę. Ziemia ta ma już swoją historię i legendę. Ona niosła cywilizację i wzięła odpowiedzialność za dwa tysiące lat. *Tam w odrodzonym kraju zaistniała potrzeba dokonania wielkich czynów dla dobra całej ludzkości.* I dlatego Palestyna ma przed sobą do spełnienia wielką misję dziejową.

Nie negujmy nowej rzeczywistości. Pamiętajmy jednak, że *być człowiekiem* to *więcej niz być Żydem*" — zakończył swe ciekawe wywody Dr. Janusz Korczak.

Obu prelegentom zgotowano burzliwą owację i nagrodzono oklaskami za pięknie wygłoszone referaty na tak aktualny temat.

Kolejna VIII lekcja jęz. angielskiego ukaże się w następnym numerze.

Samuel Mozes

Chanuka — Święto Wolności

Dwa tysiące sto dwa lata temu, w 165 roku przed erą chrześcijańską, po raz pierwszy zabłysły światła w Świątyni na górze Morijah dla uczczenia święta odzyskania niepodległości i wolności odrodzonego państwa żydowskiego w Erec Izrael. Dwudziestego piątego dnia miesiąca Kislew rozpoczęła się radość w Świątyni. Od tego czasu postanowił Jehuda Ha'Makabi wraz z braćmi i całym narodem co rok przypominać sobie tego dnia zwycięstwo garstki obrońców nad potężnym najeźdźcą. Dziś, po długich latach wzlotów i upadków, powodzenia i nieszczęść, chlubnej twórczości i tułaczki po wszystkich zakątkach świata, stoimy znowu wobec święta wielkiej radości, święta bohaterów i samodzielności narodowej, by znowu po raz tysiąc sto drugi zapalić olej w naczyniach i cieszyć się z naszego wielkiego zwycięstwa nad syryjskim wrogiem.

Czy tylko jednak z tego powodu drogie jest nam wspomnienie Chanukat Ha-Bait i czy tylko dla zadośćuczynienia uchwale rodu Haszmonaim urządzamy corocznie święto Świateł? Rzecz oczywista, że wystarczyłby sam nakaz tradycji, by w każdym miesiącu Kislew zapalano w domach żydowskich olej przez osiem dni z rzędu. Ale Chanuka ma znaczenie i treść o wiele głębszą i aktualną nie mniej obecnie, niż setki lat temu. Aktualną tak długo, jak długo istnieć będzie naród żydowski w rozproszeniu, czy też we własnym państwie.

Bo naród żydowski jest chyba najosobliwszym ze wszystkich narodów świata. Assyria i Babilonia, Persja, Grecja, Syria i Rzym — te wszystkie kolosalne potęgi starożytne, które były stosunkowo stokroć potężniejsze kulturą i orężem od dzisiejszych mocarstw europejskich i amerykańskich, potęgi, z pośród których żadna nie omieszkała burzyć murów Jerozolimy — zniknęły wszystkie wcześniej czy później w jednej epoce, jakby dotknięte różdżką czarodziejską. I choć pozostawiły po sobie spadek kultury, który długo jeszcze przyświecać będzie ludzkości, to jednak same istnieją już tylko w muzeach i dziełach naukowych. Różnie można sobie tłumaczyć to zjawisko, ale fakt pozostaje faktem, że tylko my, maleńki szczep starożytny wybrnęliśmy z zawieruchy dziejów jedyni z pośród olbrzymich narodów, i stanowimy obecnie szesnastomilionowe społeczeństwo bynajmniej nie nadające się do wystawienia w charakterze eksponatu muzealnego, ale będące przedmiotem najpoważniejszych współczesnych konfliktów politycznych.

Europa święciła niedawno jedenastego listopada rocznicę zawieszenia broni; dla Polski było to święto Odzyskania Niepodległości. Naród żydowski „zawiesił broń" już po powstaniu Bar Kochby, a więc tysiąc osiemset dwa lata temu, a jubileusz niepodległości i wolności. Chanuka, święci od czasów jeszcze dawniejszych, bo od zwycięstwa Ha'Makabim. Dlatego też Chanuka stała się dla nas od dawien dawna nie tylko świętem powstania Haszmonaim, lecz symbolem naszego dalszego istnienia, dalszych zwycięstw i dalszej żywotności. Palący się ogień w ośmioramiennym świeczniku świadczy o tym, że jesteśmy świadomi naszego wytrwania i że zachowaliśmy w sercach całe nasze państwo w Palestynie wraz z Świątynią. Że nie spoczniemy, dopóki nie odzyskamy go w granicach historycznych i dopóki nie będziemy mieli możności wstawienia tego świecznika na należne mu miejsce na górze Morijah — tam, skąd wyszedł na tułaczkę. Chanuka symbolizuje wreszcie naszą działalność pokojową, syjonistyczną, współczesny odpowiednik dawnych walk Makabeuszy, — o wyzwolenie narodu żydowskiego z ciężkiego jarzma niewoli.

Nie tylko zresztą narodu żydowskiego. Wyzbyliśmy się już dawno starożytnego egoizmu i egocentryzmu narodowego, który pragną obecnie odrestaurować w zastraszającej formie niektóre współczesne społeczeństwa reakcyjne i wsteczne. Byliśmy od zamierzchłej przeszłości bojownikami postępu. Pierwsi daliśmy ludzkości monoteizm. Byliśmy jedynym narodem starożytnego wschodu, który podniósł i równouprawnił stanowisko kobiet w rodzinie. Stworzyliśmy po raz pierwszy kodeks pozbawiony krwiożerczości azjatyckiej. Na przestrzeni dziejów byliśmy zawsze pokrzywdzeni pośród pokrzywdzonych. I dlatego właśnie wrosła w nasze umysły jak najdalej idąca tolerancja i poczucie sprawiedliwości ogólnoludzkiej. Przypominaliśmy sobie zawsze przy zapalaniu świateł chanukowych ideę wolności i równości, o którą ha'Hakabim walczyli. I zawsze ślubujemy sobie walczyć, obok działalności w kierunku wyzwolenia narodowego, o wyzwolenie ogólnoludzkie, wolność uciśnionych, równość i demokrację. To nas łączy z wszystkimi innymi społeczeństwami, które walczą z reakcją. Pomimo wszystko jednak wtedy, przed dwoma przeszło tysiącami lat, walka o wolność i niepodległość była bardziej wykonalna i łatwa niż obecnie. Z tej prostej przyczyny, że stanowiliśmy większość w Palestynie. Najeźdźca syryjski, jakichkolwiek dekretów i „gzerot" by nie użył, jednej rzeczy nie potrafił wykonać: wypędzić Żydów z ich ojczyzny. I dlatego ród Haszmonaim mógł zainicjować powstani ei doprowadzić je do zwycięstwa. Gdyż cudzoziemiec musiał prędzej, czy później przegrać w obcym kraju. Dziś stanowimy w Erec Izrael „wielką mniejszość". Prawie cały naród żydowski znajduje się w rozproszeniu. Lecz otuchy może nam dodać liczba szesnastu milionów, które poprą walkę o niepodległość i to, że długie lata niewoli i ucisku przekonały nas dostatecznie o tym, że czas już najwyższy święcić nie Chanuka - rocznicę, lecz nową Chanukę - Wolność. Świadomi tego powinniśmy kontynuować pracę syjonistyczną równolegle z działalnością i demokratyczną, która obok nas przyniesie wyzwolenie innym, ciemiężonym przez wyznawców rzekomej idei „narodowej". Dolewajmy oleju do symbolicznego ognia świateł chanukowych, by idea wolności tego święta zwyciężyła jak najprędzej.

Redaktor „Steru Młodych" N. JACOBI

Adres dla korespondencji: „Ster Młodych", W-wa I, ul. Chłodna 17.

MAURYCY SZYMEL

„Tańcowała igła z nitką"

...igła — pięknie, nitka — brzydko,
igła naprzód, — nitka za nią.
„Ach, jak cudnie tańczyć z panią!"
Tak ze sobą tańcowały,
aż uszyły fartuch cały!

Igła z nitką — to bohaterki książki Jana Brzechwy*). Ale nie tylko igła i nie tylko nitka. Bohaterami są również: pieprz i wieprz, stonoga, katar, który owładnął całym miastem z powodu jednej Katarzyny:

„Spotkał katar Katarzynę —
a psik!
Katarzyna pod pierzynę —
a psik!
sprowadzono wnet doktora —
a psik!
„Pani jest na katar chora" —
a psik!
Terpentyną grzebiet jej natarł —
a psik!
a po chwili sam miał katar —
a psik!

a od doktora poszedł katar na całe miasto

„że dudniło, jak na moście —
a psik!

Ale nie tylko katar jest bohaterem tej ślicznej książki, bo indyk z Wolskiej, żóraw i czapka, ba — nawet niepoetyczny śledź ma tu dużo do gadania, a cóż dopiero globus szkolny, rozbity przez jakiegoś łobuza...

z tego wynikła
historia całkiem niezwykła:
Siedlce wpadły do Krakowa,
Nowy Targ za Prut się schował
Beskid Wschodni zląkł się wielce
i poskoczył aż do Stryja, —
każdy myślał, że to Kielce,
a to była Kołomyja.
i t. d.

Także żuk i biedronka przeżywają tragedię i to nawet... miłosną. Jest i kłótnia rzek, jest historia o raku na półmisku o żółwiach i krokodylach, o pomidorze i o tym, co się dzieje na straganie:

„„Burak stroni od cebuli,
a cebula doń się czuli —
Burak tylko nos zatyka
Niech no pani prędzej zmyka,
Ja chcę żonę mieć buraczą,
bo przy pani wszyscy płaczą...

Jest i historia o jeżu, o tygodniu, o miodzie i rzepce i wiele innych ciekawych rzeczy...

Dla dzieci? A jakże. Dla dzieci. Coprawda to daleko mi do dziecka, ale i ja książkę Brzechwy przeczytałem jednym tchem, bo...

Książka Brzechwy — to wyłom w tej, tak zbanalizowanej już „twórczości" dla dzieci. Bez natrętnego moralizatorstwa, bez fałszywego patriotyzmu, bez nieszczerych ckliwych zdrobnień — atakuje Brzechwa umysł i serce dziecka najczarowniejszą, najautentyczniejszą poezją. To nie tylko „wierszyki" — to wiersze doskonale skomponowane, pedagogicznie przemyślane i w kunsztownych rymach podane majstersztyki dźwięczności, lekkości i wesołości.

Tradycja wychowywania dzieci powiastkami o królewnach i rycerzach zapaskudziła doszczętnie literaturę dziecięcą.

Były to „utwory" nie tylko pozbawione cech sztuki, ale i wysoce niepedagogiczne, gdyż odrywały umysł dzieci od spraw doczesnych, od życiodajnej codzienności, od dnia powszedniego, w którego kolisku dzieci przecież żyją i o którym mają swoje pojęcie.

Po za tym była to „literatura" nudna. Każda powiastka była jakby tylko doczepiona do morału w rodzaju: dzieci muszą być grzeczne, kochaj tatusia i mamusię, kochaj wróbelka i koteczka i pieska, bądź posłuszny i t. d.

Po za tym operowała ta „literatura" strachem jako batem... Duchy, anioły, diabły i inne osoby z tamtego świata przerażały dzieci i nie dawały im spać po nocach. Wierszydła te były prawie zawsze nędzne, bez krzty świeżości i polotu... Takie wierszydła dzieci recytowały na imieninach mamusi i tatusia, tracąc raz na zawsze zrozumienie dla prawdziwych walorów sztuki poetyckiej. Psuto im smak. Stąd tak mało czytelników poezji w Polsce...

Tuwim pierwszy zerwał raz na zawsze z tą zaśniedziałą tradycją i dał dzieciom wiersze, o których nie śniło się ani nam ani naszym matkom... Na tych arcydziełach uczą się dzieci kochać piękno wiersza.

Jan Brzechwa wykorzystuje mądrze i pedagogicznie intymny stosunek dzieci do t. zw. martwej przyrody. Nie narzuca swym młodym czytelnikom upodobań ludzi starszych, ale sam siada z nimi na podłodze i bawi się z nimi jak równy z równymi.

Stosunek wzajemny przedmiotów antropomorfizowany naświetla doskonale mądrą użyteczności igieł, nici, globusu, zaś uczłowieczenie uczuć zwierząt przybliża je dziecku i usuwa niemądry przed zwierzękami strach.

Nauczanie odbywa się w wierszach Brzechwy w sposób wyjątkowo dowcipny i wesoły.

Jeśli Brzechwa pragnie dzieciom uprzytomnić właściwości niektórych przedmiotów lub zwierząt, czyni to zawsze prawie za pomocą przemiłego podstępu.

Siedzi sroka na żerdzi i twierdzi,
że cukier jest słony,
że mrówka jest większa od wrony,
że woda w morzu jest sucha,
że wół jest lżejszy, niż mucha,
że mleko jest czerwone,
że żmija gryzie ogonem,
że raki rosną na dębie,
że kowal ogień ma w gębie
i t. d.

Przy czym książka jest świecka, to znaczy pozbawiona zupełnie szowinizmu, ckliwego religianctwa czyli, że jest — ogólnoludzka. Może ją czytać z równym zainteresowaniem mały Polak, Żyd, Ukrainiec. Nie ma w niej ukrytej nienawiści, którą niektórzy „pisarze" usiłują karmić swoich młodocianych czytelników.

O walorach czysto artystycznych wiersza Brzechwy dałoby się dużo powiedzieć. Na pierwszy plan wysuwa się rzecz jasna — melodyjność — tak nieodzowna — jeśli o dziecięcego czytelnika chodzi.

Do biedronki przyszedł żuk,
w okieneczko puk-puk-puk —
Panieneczka widzi żuka:
„Czego pan tu u mnie szuka?"
Skoczył żuk, jak polny konik,
z galanterią zdjął melonik,
i powiada: „wstań biedronko,
wyjdź biedronko, przyjdź na
słonko.

— — — — —

Oburzyła się biedronka
Niech pan tutaj się nie błąka
Niech pan zmiata i nie lata,
i zostawi lepiej mnie,
Bo ja jestem piegowata,
a pan — nie!

Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby autor nie pamiętał i o tym, że dzieci trzeba przyzwyczajać również do rytmu bardziej skomplikowanego o zmiennej ilości zgłosek.

Duża rozmaitość miar metrycznych przyczynia się walnie do tego, że wiersze te nie są nużące i świetnie nadają się do wykonywania i inscenizowania w teatrach szkolnych

Brzechwa łączy w tej książce udatnie dwa style: styl anonimowej poezji dziecięcej z melodyką i tonem pieśni ludowych. Jest to droga najwłaściwsza jeśli o twórczość dla dzieci chodzi: style te łączą bowiem prymitywizm i oryginalność obrazowania z jasnością wątku, przez co wiersze Brzechwy są bardzo łatwe do pamięciowego opanowania.

Franciszka Themerson ślicznie tę książkę zobrazowała. Układ graficzny rysunków jest bardzo dowcipny, gdyż odnosi się wrażenie, jakby sam młodociany czytelnik, przy odczytywaniu tych przepięknych wierszy na marginesie i tuż obok wierszy wyrysowywał sobie te najrozmaitsze obrazki i koloryzował szkolną kredką. A więc i rysunki utrzymane są w stylu i przyczyniają się w dużej mierze do pięknej całości.

---

*) Jan Brzechwa: „Tańcowała igła z nitką", Mortkowicz, Warszawa 1938.

Leon Baumberg

Jerzego Hulewicza powieść „nijaka"...

Jerzy Hulewicz zadebiutował w piśmiennictwie polskim jeszcze w 1910 roku „Dialogami estetycznymi", a później pisywał najrozmaitsze opowieści, dramaty, bajki dramatyczne, które — aby użyć już bardzo łagodnego określenia — rewelacji bynajmniej nie wywołały. Ani „Kain" ani „Wiano" ani „Śluby ziemi" ani „Kratery" ani „Córa Oxymoronu" poza środowisko ściśle ograniczone nigdy nie wyszły i żadna z tych książek nie stanowi poważnej pozycji w dorobku współczesnej literatury polskiej. Nazwisko Hulewicza pozostało by więc dla szerokich rzesz czytającej publiczności w dalszym ciągu mocno egzotyczne, gdyby nie tak modna obecnie dyskusja nad sprawą żydowską i w związku z tym — występ pana Hulewicza (na jednej zresztą kolumnie z nestorem pozytywizmu Świętochowskim) w „Wiadomościach Literackich". Hulewicz wystąpił z głośną już dzisiaj enuncjacją o „nijakiej" kulturze żydowskiej i autor „Samskara" miał tyle odwagi i tupetu, by odsądzić nas od wszelkich zdolności i ograniczyć kulturę żydowską wyłącznie do jednej „poważnej" księgi (biblia), jednego kodeksu (talmud) i... jednego świecznika.

Oto ukazała się na półkach księgarskich nowa powieść Hulewicza p. t. Szaruga w wydawnictwie Ferdynanda Hoesicka. Nie bez ciekawości zabrałem się do czytania tej książki, która, jak sądziłem, odsłoni nowe, wspaniałe horyzonty ludzkich dociekań, która godnie reprezentować będzie aryjską myśl, która wskaże na wielki zasięg talentu autora, tak pochopnie i bez skrupułów skazującego na zagładę jedną z najstarszych kultur na świecie.

„Szaruga" okazała się powieścią bardziej niż przeciętną, ubogą, pretensjonalną, pod względem stylu i języka (w stosunku do poprzednich utworów Hulewicza) dość słabą, o powolnej, człapiącej akcji, a z punktu widzenia ideologicznego — zupełnie mętną. Nie wiadomo właściwie o co autorowi chodzi, czy chce Polski demokratycznej czy sfaszyzowanej, czy wreszcie ideałem jego jest — „demokracja zależna". Asekuracja w postaci „koniec tomu pierwszego" w niczym nie usprawiedliwia autora, albowiem powieść ta stanowi zamkniętą całość. Nie wiadomo również kim jest Antoni Terlik, reprezentujący niewątpliwie poglądy autora, i czego właściwie się domagał na owym publicznym zebraniu, o którym dochodzą nas tylko echa, skoro policja nie dała mu już odtąd spokoju i musiał „swoje" odsiedzieć. Nie rozumiemy także w jakim celu zbliżył autor dwa tak odmienne od siebie światy — Antoniego Terlika i Genię i co z tego zbliżenia proletariatu z inteligencja ma na przyszłość wyniknąć? Antoni Terlik, estetyzujący krytyk i pisarz ofiarowuje Geni, dziewczynce z proletariatu, poezje, wiersze Kasprowicza, by stanowiły jej duchową strawę i tą drogą pragnie on ocalić dziewczynę od zgubnego wpływu otoczenia, zbrutalizowanego codzienną walką o byt. Trudno zaprawdę pojąć, jakie znaczenie może mieć propaganda dobrej książki (o której mówi się w tej powieści bardzo dużo) wśród spauperyzowanych warstw proletariatu miejskiego, dla którego problem zdobycia bochenka chleba jest centralnym dramatem rodzinnym a „mleko dla Józka" nieosiągalnym często marzeniem. Autor idzie po linii najmniejszego oporu, nie podaje żadnej recepty na ulżenie doli Marcelowych i Doliniaków, nie wysnuwa z ich życia żadnych pozytywnych wniosków, nie dostrzega istotnych źródeł zła, wszystko mierzy szablonem nieuchwytnego zresztą doktrynerstwa, mierząc czasem rozpatrywane problemy życiowe ubogą miarkę wcale nie pogłębionej refleksji. Antoni Terlik jest tylko pięknoduchem w tym oczywiście najbardziej ujemnym znaczeniu, którego cechuje mdły sentymentalizm i duchowe mazgajstwo. Bóg, religia, kościół, duchowieństwo, nierówność społeczna, wyzysk, kapitał i praca — oto problemy wokół których snuje swą myśl esteta Terlik, naiwną, płytką i banalną. Świat według Hulewicza poza Terlikiem i Genię wypełniony jest ciemnymi indywiduami, począwszy od księdza-proboszcza, a skończywszy na Gutmanie i Miryczu (komuniści) oraz na zachłannej, opryskliwej i bezkompromisowej biurokracji. W rozdziale „Komuniści" zamiast rozwinąć rzetelny, uczciwy dialog, jak przystało na pisarza o aspiracjach społecznych i przeciwstawić „chytremu Gutmanowi" i „nerwowemu Miryczowi" nową myśl Terlika, Hulewicz stchórzył w obliczu poważnej, a niewątpliwie bardzo dramatycznej dyskusji i wyrzucił obu dyskutantów za drzwi. Skończyło się na wyzwiskach i kanaliach. Terlik rozmawia prawie wyłącznie z Genią, z owym wrażliwym dzieckiem proletariatu, a zastraszający prymitywizm swej myśli, upraszczający pochopnie, jak w artykule o przyczynach antysemityzmu, najbardziej czasem złożone zjawiska, zasłonić chce faktem, że przecież te wszystkie zawiłe sprawy tłumaczy właśnie — dziecku, które samo na życie patrzeć jeszcze nie umie. Nie inaczej jednak mówi Terlik z przyjacielem swoim malarzem, bynajmniej nie wyższy poziom cechuje wszystkie rozmowy i dialogi, w tej powieści zawarte, wszystkie dociekania filozoficzne i społeczne. Melodramatyczny ton niektórych wywodów, irytujące wykrzykniki w rodzaju: o, ach i och, które są jakby predestynowane do zastąpienia rzetelnej myśli i prawdziwego uczucia mdłą, cukierkowatą czułostkowością, dalej — niezdrowe i niepozbawione tanizny aluzyjki erotyczne estetyzujących krytyków i malarzy oraz w każdej niemal powieści sensacyjnej spotykana scena pożądliwego ojca, znękającego się nad własną córkę — wszystko to odbiega daleko od ideału dobrej prozy, jaką chce pan Hulewicz reprezentować. Jedyną zaletą „Szarugi" są umiejętnie i z pewną plastyką postawione typy i charaktery, ale niewiadomo znowu po co istnieją, jakie jest ich zadanie i co nowego wnoszą. Tymi ludźmi nie rządzi żadne prawo, są pozbawieni zupełnie racji bytu, sa wyjałowieni intelektualnie i społecznie. Ideałem Felka jest wstąpić do — Strzelca, nie po to bynajmniej, aby służyć idei, tak przecież wyraźnie z powieści wynika, lecz w celu osiągnięcia osiemdziesięciu złotych miesięcznie, noszenia wspaniałego munduru i ewentualnie w celu przypodobania się Geni. Po to, aby zestawić dziewczynę z przedmieścia z wcale nie genialnymi „rzutami filozoficznymi" Terlika nie trzeba było napisać powieści. Na przeszło trzystu stronicach tej książki panuje jesienna, bezbarwna szaruga uczuć i myśli Terlika oraz — Geni, złączonej z tym inteligentem nieuchwytnymi nićmi przyjaźni czy miłości. Gdyby nie wcale zgrabnie skonstruowana całość trudno byłoby dobrnąć do ostatniej pointy, kiedy to Genia „wstała i poszła" do kaprala Felka Doliniaka na ślubne łoże.

Nowa powieść Jerzego Hulewicza jest typowym przykładem „nijakiej" twórczości, o której tyle pisał autor „Szarugi", najmniej oczywiście myśląc wtedy o sobie...

Olga Wołkowicz

Droga Królewska

ANDRÉ MALRAUX. Droga Królewska. 1938. Instytut Wydawniczy Lektura. Przełożył dr. Adolf Speiser.

We współczesnnym pokaźnym napływie książek — pamiętników o wyprawach w egzotykę, „Droga Królewska" André Malraux zajmuje stanowisko odrębne. Podczas gdy zwykle w tego rodzaju publikacjach zainteresowanie autorów głównie spoczywa na samych terenach (przedstawianych często w bardzo pięknych opisach, np. u Uniłowskiego), tutaj spotykamy się z czymś zupełnie innym. Już sam początek — trochę sensacyjny, ale daleki od banału — wskazuje na to, że punktem oparcia dla autora będzie nieprzeciętny człowiek, o ciekawym życiu duchowym i głębokich psychicznych załamaniach, a egzotyka będzie tylko tłem do jego przeżyć.

Malraux rozpoczyna więc nie od opisu przyrody, lecz od stanu duchowego człowieka, objętego jakąś obsesją, której sedna dochodzimy stopniowo i powoli. I tylko z ubocznych uwag domyślamy się, że bohaterowie znajdują się na okręcie, który wiezie ich do wybrzeża Syjamu.

Bohaterami Malraux nie są ani reporterzy prasowi, ani bogaci Amerykanie (statyści), rozlokowani w drogich hotelach, szukający w egzotycznej romantyce pokarmu dla zabicia nudy albo dla marzeń, rozpływający się w zachwycie i na zmianę — w cierpieniach od moskitów i żaru dżungli. A gdy co odważniejszy z nich zapuści się w niebezpieczniejszą gąszcz czy w zakamarki dzikusów, to tylko po to, by połechtać swą awanturniczą żyłkę.

Malraux zaś wydobywa z człowieka to, co w nim jest najgłębsze i najistotniejsze. Jego bohaterowie nie marzą. Tu są czyny, działania i wielkie namiętności, które muszą wyżyć się w walce. Przede wszystkim wypowiadają walkę surowej władzy śmierci — i tu leży główna sprężyna ich działań. Żyć w codzienności, w prochu, w biernym przyjmowaniu przypadkowości życia, w podporządkowaniu się ustalonym wzorom, w biernej świadomości śmierci — to już jest śmierć i przeciw niej chcą walczyć. Walczyć wyłamaniem się z koła praw i obowiązków, walczyć odwagą. Wiedzą że zostaną zabici, że zginą, ale jeśli nie mogą mieć zwycięstwa, to przynajmniej mają walkę. Nie pcha ich ciekawość, ani chęć przygody, ani zaspokojenie tęsknoty awanturniczej, bo stoją ponad nią. Podróż ich jest „polowaniem" dla pieniędzy, polowaniem na którym chcą się obłowić, a urządzają je na ścieżkach najdzikszych, idąc tropem archeologów: naukowcy - awanturnicy, hazardowcy grający swe ostatnie stawki, badacze zabytków archeologicznych w celu sprzedaży, liczący na haussę na dzieła sztuki azjatyckiej — posągi i motywy ornamentacyjne z przed ery chrześcijańskiej. Urządzają zorganizowane „poszukiwania skarbów" w starych zapomnianych świątyniach lub ich ruinach.

Malraux wybiera kraje najmniej „objechane" w książkach o egzotyce — kraje najdziksze i najtrudniejsze, niespacyfikowane tereny francuskich kolonii, leżące po za linią Drogi Królewskiej, gdzie biały człowiek naraża się na niechybną śmierć, na oślepienie i oskalpowanie i inne podobne męczarnie (tak dobrze nam znane z młodzieńczej lektury o Czerwonoskórych). Ale tereny te właśnie dla ich niebezpieczeństwa i grozy są jedynym tłem do zilustrowania i podkreślenia tych najsilniejszych zmagań duchowych bohaterów Malraux, szukających zdobyczy najtrudniejszych.

Autor ciekawie wprowadza fabułę, jakgdyby umyślnie zwiększając przed czytelnikiem trudności w orientowaniu się. Skomplikowane charaktery, owiane tajemniczą mgiełką, wyłaniają się z niej powoli, krystalizując się przeważnie w rozmowach.

„Droga Królewska" posiada też pełną wartość książki „podróżniczej", gdyż ciekawa akcja i pełen napięcia dramat ludzki rozgrywa się na egzotycznym podłożu, które czytelnik stale ma przed oczami. Mamy tu więc dokładnie oddane zarówno tło zwyczajowe tubylczej ludności, jak i atmosferę i krajobraz tych najmniej znanych okolic. Oczywiście nie brak u Malraux też opisów przyrody, ale nie znajdziemy tu ani rozlewnych wschodów i zachodów słońca, ani chwiejby seledynowych fal, ani gór skłębionych w niebieskawej dali wogóle ani cienia liryzmu. Pięknie opisane są np. brzegi Sumatry, albo dziewicze tereny lasów i kamiennych zwalisk, ale podkreślone w nich są momenty grozy niedostępnego kraju. Przy tym autor pod jeszcze jednym względem pozostaje sobie wierny i nie łamie charakteru książki, mianowicie nigdy długo nie zatrzymuje się przy opisie biernego obrazu, że tak powiem „martwej natury". Ograniczy się do kilku charakterystycznych rysów, które niebawem złączy z motywem czynu, z motywem jakieś akcji, związanej z obrazem, lub powstającej na jego tle. Wszystko tu jest żywe nawet w martwocie, ożywione przez ciekawe uosobienia. Nawet głazy, — choć bierne — tutaj żyją, chociażby już przez to, że są zdolne do stawiania oporu.

ROSAMOND LEHMAN: Jak liść na wietrze. 1938. Inst. Wyd. Lektura. Przekład Haliny Gądek.

Pani Rosamond Lehman, laureatka trzech nagród literackich, za tę czwartą powieść nagrody chyba nie dostanie. Nie dociągnęła nią do poziomu dobrej literatury. Odwieczny trójkąt małżeński, ze słabym mężem i silną teściową, która zmusza tę „drugą" do wyrzeczenia się nawet „bocznej drogi" jej syna — oto temat tego liścia na wietrze. Chociaż zaprawiony pikantną sceną sztucznego poronienia, reszta jest dosyć mdła i banalna. Gdyby autorka przynajmniej zaczęła swą powieść od połowy!! Zaoszczędziłaby nam przeszło sto-pięćdziesiąt stronic nudnych, konwencjonalnych dialogów i jeszcze nudniejszych opisów wytwornych wnętrz w domach angielskiej arystokracji. Całe to środowisko z jego martwymi ludźmi nic nas nie obchodzi (przy czytaniu tej książki trudno opędzić się natarczywej myśli, że tyle jest teraz ważniejszych spraw na świecie), nie wzbudza w nas ani współczucia, ani zainteresowania. Brak tempa i temperamentu, nie ma ani jednego wyraźnie nakreślonego charakteru, nawet bohaterka, z pretensjami do głębszej indywidualności, grzęźnie i niknie w beznadziejnie nudnej banalności reszty „towarzystwa". Nawet dla niej autorka nie postarała się o wyraźniejszą sylwetkę. Nie wiemy, czy jest powieściopisarką czy pomocnicą w zakładzie fotograficznym, wreszcie nie jest ani tym ani owym.

Przekład naogół poprawny, ale nadużywanie słowa „faktycznie", i to w sensie poważnym, (nie po wiechowemu), na dłuższą metę działa irytująco.

CECYLY SYDGWICK: Panny bez posagu. 1938. Inst. Wyd. Lektura. Przekład Haliny Gądek.

Książka z serii tych, które czyta się „jednym tchem". Ale w najlepszym stylu. Sześć córek bez posagu i bez zawodowego wykształcenia, — które zresztą jeszcze wywołuje shocking w angielskich „wytwornych" (bogatych i niebogatych) sferach — bagatela, to dla ich matki chyba wystarczający powód do stałej, poważnej troski. A do tego jeszcze stara tradycja i uświecone konwenanse, kolidujące z młodą dziewczęcą niezależnością. Właśnie tej niezależności w powijakach pani Sydgwick rusza na pomoc, biorąc starą Anglię na ząb lekkiej satyry.

„Panny bez posagu" napisane są bez pretensji, inteligentnie, z werwą, a nawet z dowcipem, i chętnie wczytujemy się w dość urozmaicone dzieje tej sympatycznej rodzinki. A najsympatyczniejsza jest matka. Dowcipna, mądra — bo czyni koncesje postępowi i nie dba o plotki — i taka ogromnie prawdziwa, bo... wciąż się martwi. Martwi się, że córki nie wychodzą zamąż, a gdy wychodzą — też się trochę martwi. Między jednym zajęciem a drugim zawsze znajdzie czas na miłe dociekania filozoficznego, no i na „dwie godzinki na troski" jeszcze potem gdy w ciągu jednego roku trzy córki same świetnie wydają się zamąż. O następnych trzech pretendentach powiedzmy, że nie zjawiają się jak *deus ex machina*, lecz że wypływają z niezmąconej pogody książki. Dowcip swój autorka rozwija na plotkarskiej atmosferze małego miasta i dobrze wykorzystanych typach złośliwych matron i śmiesznych konkurentów. Słowem, świetna lektura „wypoczynkowa", albo np. dla całodziennej podróży.

ANTENA ŚWIATA

Omyłka sądowa

W kwietniu 1936 roku skradziono z wystawy wielkiego magazynu jubilerskiego w Budapeszcie piękny brylantowy pierścień. Podejrzenie padło na piękną, młodą tancerkę Hildegardę Richter i jej przyjaciela Salomona Weyzera. Wydano nakaz aresztowania, lecz para znikła z Budapesztu.

Richter udała się do Paryża, gdzie tańczyła w jednym z nocnych kabaretów na Montparnassie. Młodą kobietę i jej przyjaciela aresztowano, przy czym policja ustaliła, że przybyli oni do Paryża za fałszywymi paszportami.

Wszystkie poszlaki były przeciw tancerce i niespodziany wyjazd z Budapesztu i fałszywy paszport. Wydano ją władzom węgierskim, postawiono przed sądem i osądzono na dwa lata więzienia. W czasie rozprawy sądowej Richter przysięgała, że pierścienia nie ukradła. Zaś do wyjazdu paryskiego, gdzie ją oczekiwał angagement, dlatego jedynie skorzystała z obcego paszportu, że jej własny nie był gotów. Sąd jednak nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

Hildegarda Richter przesiedziała w pojedyńczej celi 18 miesięcy. Po upływie tego czasu wypuszczono ją na wolność: albowiem policja znalazła złodziejkę i ta przyznała się do winy. Lecz co najciekawsze. Richter skazano na dwa lata więzienia, a rzeczywistą złodziejkę, kilkakrotnie już karaną wszystkiego na pięć miesięcy.

Ku-Klux-Klan

Przed niedawnym czasem grupa około dwustu osób w białych kapturach Ku-Klux-Klanu wtargnęła do lokalu modnego kabaretu w Miami, znajdującego się w odległości kilku kilometrów od miasta. Kapturowcy ciężko pobili obecnych, służbę, muzyków i zniszczyli lokal. Odchodząc, na wszelki wypadek zabrali ze sobą zawartość kasy ponad 300 dol. Dyrektorowi kabaretu zagrożono śmiercią na wypadek, gdyby ośmielił się wznowić swą pracę. Nie zwracając uwagi na te groźby, kabaret otworzono po upływie paru godzin tym razem pod ochroną policji. Oprócz policji w lokalu nie było nikogo: przestraszeni goście rozbiegli się w obawie przed nowym najściem.

Tajemnice ruletki

Opublikowano dane statystyczne o sezonie ruletkowym w Monte-Carlo (1936 — 1937). Cyfry i niektóre uwagi będą zapewne bardzo interesować nie tylko graczy, ale i szerszą publiczność. Opracowano statystycznie 136.232 numery, które wypadły bez przerwy na stole ruletkowym Nr. 2 w kasynie w Monte-Carlo, w przeciągu 12 miesięcy.

Okazało się, że istniejące 37 numerów ruletki powtórzyły się w ciągu roku równą ilość razy. Najczęściej wychodziła piątka (3977 razy), najrzadziej trzydzieści trzy (3302). Jeśliby ktoś stawiał, nie powiększając stawki, bez przerwy na piątkę, to wygrałby w ciągu roku przy stawce pięć fr., 38.300 fr., gdyby zaś stawiał bez przerwy na trzydzieści trzy, przegrałby w ciągu roku roku 86800 gr. Liczbami „faworytami" w ubiegłym roku były 5, 31 i 4; najgorszymi 33, 24 i 1.

Zarejestrowano np. taki rekord dnia 23 marca; siódemka nie wyszła ani razu w ciągu 444 uderzeń.

Co się zaś tyczy kolorów, to trudno coś konkretnego powiedzieć o ich wzajemnym następowaniu po sobie. Jeden jedyny raz zdarzyło się, że kolor czarny wychodził przez 21 razy z rzędu, a dwukrotnie w ciągu roku „czerwony" raz 16, a raz 17 z rzędu.

Eden czy Paradis?

Minister Eden uprawia wszelkie sporty. Nie odczuwa tylko entuzjazmu dla polowania, którego Anglicy są wielkimi zwolennkiami. Pewnego dnia Chef Foreign Office bawił przejazdem w Paryżu, gdzie znalazł się na przyjęciu w pewnym salonie w towarzystwie dwuch młodych i ładnych kobiet.

— Jaka to szkoda, że pan nie lubi polowania, — rzekła jedna z nich — jest to jedyny minus w Panu..

— Nie można przecież w życiu wszystko lubieć — dodała druga.

Szef dyplomacji angielskiej, który zna wszystkie subtelności mowy francuskiej, odrzekł na to śmiejąc się:

— Nieprawdaż? Trzeba żebym posiadał jakieś usterki. Jestem przecież Eden (piekło), w przeciwnym bowiem razie musiałbym się nazywać Paradis (raj).

Oryginalny zakład

W Jugosławii Swietisław Romanowicz z Utcyica założył się, że przejedzie w szerokość cały półwysep bałkański na rowerze, co wynosi ogółem 18 tys. km. Nie byłoby w tym nic specjalnego gdyby nie to, że zobowiązał się, że przez cały czas swej podróży nie wymówi ani jednego słowa. W danej chwili jest on bliski wygrania swego zakładu, albowiem, mimo wielkich przeszkód przebył już przestrzeń 10 tys. km. w czasie ośmiu miesięcy. Ponieważ według umowy ma on jeszcze 9 miesięcy czasu, ma więc on nadzieję, że z łatwością przejedzie pozostałe mu 8 tys. km. To nietylko sława oczekuje go po powrocie do domu, ani 10 banknotów tysiąc dinarowych, lecz nade wszystko perspektywa otworzenia w końcu ust dla wyrażenia swych życzeń, bez posiłkowania się ołówkiem i papierem, nieodłącznymi towarzyszami jego podróży.

Konflikt w Hollywood

W Hollywood doszło do poważnego konfliktu pomiędzy czarującą gwiazdą francuską Daniele Darrieux a producentami amerykańskimi. Scenariusz nie odpowiadał pani Darrieux, wobec czego artystka oddała rolę wytwórni. Producenci amerykańscy aż zaniemówili, nie są oni przyzwyczajeni do tego rodzaju postępowania. W Hollywood nie ma zwyczaju dyskutowania. Wystąpienie Danielle Darrieux spotkało się z gorącą sympatią wśród aktorów, którzy ją popierają. Jaki będzie wynik konfliktu trudno przewidzieć, ponieważ istnieje kontrakt od którego interpretacji dużo zależy. W każdym razie atmosfera nieco się odświeży.

Artystki contra sex-appeal

Ciekawa wiadomość nadeszła z Hollywood. Gwiazdy amerykańskie wystąpiły przeciwko zasadzie sex-appeal i oświadczyły, że nie chcą powodzenia zawdzięczać swej urodzie. Czy wprowadzą to w życie okaże nam najbliższa przyszłość. Istniała już próba „oczyszczenia" siódmej muzy, której autorem był Mr. Hays. Ogłosił on w swoim czasie dwanaście zasad, które miały być wprowadzone do filmu. Między innymi, że nie wolno na ekranie pokazywać się w bieliźnie, w szatach przezroczystych, nie wolno nosić opasek z piór i t. p. Największą wagę przypisywał Mr. Hays długości trwania pocałunku, którą usiłował zredukować do minimum. Usiłowania Mr. Haysa nie powiodły się, zobaczymy czy powiodą się próby artystek, albowiem w Ameryce głos decydujący ma publiczność.

Pluskwy — środkiem leczniczym

W Ammanie od wielu lat suszone pluskwy uważane są za najskuteczniejszy środek przeciw ukąszeniom zmii. W braku suszonych pluskiew może ofiara ukąszenia zażyć pluskwy świeżo zabitej. Dozę normalną stanowią trzy sztuki. Środek ten do niedawna uważany był jako rodzaj leku czarownego. Lecz w jednej ze swych korespondencji Dr. Luong, członek medyczno - chirurgicznego towarzystwa Indo chińskiego, wyjaśnia, że ten środek ma rzeczywiście zastosowanie medyczne. On sam, miał do czynienia z pacjentem, który po ukąszeniu nogi przez jadowitego węża, zażył sześć pluskiew; w rezultacie po upływie mniej niż jednego dnia, gorączka spadła, lokalne zaognienia zbladły a bóle ustały.

„Wielbiciele" Szekspira

W Bostonie istnieje „Towarzystwo czytelników - wielbicieli Szekspira". Jak wskazuje sama nazwa, towarzystwo ma na celu czczenie pamięci wielkiego angielskiego poety.

Prezesem tego towarzystwa w przeciągu 1 lat był mr. Curby. Miał on opinię wzorowego prezesa. Dla Szekspira był gotów na wszelkiego rodzaju ofiary. Wydawał dziesiątki tysięcy dolarów na kupno rzadkich wydawnictw szekspirowskich. Wydał tom komentarzy do „Ryszarda III" i gotów był zastrzelić każdego, ktoby się ośmielił twierdzić, że prawdziwy Szekspir — to nie Szekspir, a niewiadomo kto.

Lecz mimo to wszystko mr. Curby zmuszony został ustąpić.

Na walnym, burzliwym posiedzeniu na którym próbował się tłumaczyć, zaproponowano mu nawet aby w ogóle wystąpił z towarzystwa. Mr. Curby oskarżony jest o to, że dopuścił się wielkiej zniewagi wobec pamięci Szekspira.

A mianowicie posiada on psa. Zwykłego, podwórzowego psa. I to zwyczajne, brudne zwierzę nazwał „deliktnym jak lilie, lekkim jak wiatr" imieniem Kordelia. Wyjdzie na podwórze i zawoła: „Kordelia, Kordelia". I Kordelia biegnie wymachując ogonem. Lecz to jeszcze nie wszystko. Suka ta urodziła szczenięta. Zostały one nazwane: Romeo, Otello i lady Mackbett.

Mr. Curby tłumaczył się przed swoimi współtowarzyszami, że czynił to wszystko z wielkiej miłości do Szekspira. Lecz uchwała zapadła, że popełnił zbyt wielkie przestępstwo, aby zwracać uwagę na pobudki, jakie kierowały Mr. Curby. Przytoczona wiadomość jest autentyczną wzmianką z gazety bostońskiej, godną pióra Marka Twaina.

Jak sobie wyobrażam raj?

Niemiecka „ilustrowana pedagogika" przytacza ciekawe przykłady ćwiczeń uczniów jednej z berlińskich szkół powszechnych na temat: „Jak sobie wyobrażam raj". Oto niektóre odpowiedzi:

„Raj jest to miejsce, gdzie zawsze panuje cisza. Ptaszki śpiewają na drzewach i ciągle świeci jasne słonko. Ten, kto się tam dostaje już nigdy tego miejsca nie opuszcza. We święta Pan Bóg po kolei odwiedza wszystkich mieszkańców raju i ze wszystkimi rozmawia.

„W Raju można bawić się, śpiewać, tańczyć, ile tylko kto zechce. Smakołyki i przysmaki w wielkich ilościach leżą na stołach. Więcej pisać nie mogę, albowiem opisałem już to co może być najlepsze".

„Raj znajduje się na niebie za chmurami. Ludzie nie wiedzą w jaki sposób można tam pofrunąć. Lecz ja myślę, że te samoloty, które zginęły, pofrunęły do raju. One nie chciały tego mówić, gdyż obawiały się, że im się w tym przeszkodzi".

L—y

III NUMER MIESIĘCZNIKA AKADEMICKIEGO „FILARY".

Ukazał się III numer Miesięcznika Akademickiego „Filary", który zawiera następujące artykuły: Kontratak — A. R., Pod płaszczykiem demokracji — A. Rozenman, Przed Zjazdem — L. Mundsztuk, Antysemityzm jako choroba społeczna — B. Besen, Kanclerz Magnes do dymisji — mgr. Ch. Grynfeld, Komuniści a Państwo Żydowskie — W. Feld, Refleksje jesienne — M. Efros, Pokłosie miesiąca — L. Einstein, W kotle arabskim — M. Kołodny, Albion — nasz „opiekun" — O. Wiselfier, 8—12! nie 12—14! — M. Sprecher, Krzywda — I. Kanfer, Migawki — R. Baum, Jesień — S. Dykman, Mój przyjaciel — A. Wentland oraz bogata kronika akademicka. Do nabycia wszędzie.

„Wydział Ekonomiczno Statystyczny Żydowskiego Instytutu Naukowego wydał już zeszyt 4—5 swego organu „Di Jidisze Ekonomik" redagowanego przez Jakuba Leszczyńskiego. W dziale artykułowym nowego zeszytu znajdujemy artykuły redaktora o Żydach w Warszawie, i pierwszą część większej pracy, nader aktualnej, bo traktującej sprawę szeroko obecnie dyskutowanego zagadnienia konstruktywnego planu pomocy dla Żydów w Polsce. Czytelnik znajdzie tu pracę Mgr. Menachema LINDERA o przemyśle kilimkarskim na Kosowszczyźnie we wschodniej Małopolsce, oraz Inż. Jakuba BABICKIEGO opis żydowskich osiedli rolnych na Wołyniu. Bardzo ciekawe notatki statystyczne o Żydach na Węgrzech, chalucach na hachszarze ,imigracji żydowskiej do Kanady, warunkach mieszkaniowych Żydów łotewskich, i inne, uzupełniają w sposób żywy treść numeru, a nagłówki tablic statystycznych w językach polskim i angielskim umożliwiają i nieznającym żydowskiego czytelnikom orientację w tej pożytecznej publikacji statystycznej.

KINO

ROMA — „KRÓLOWA WIKTORIA".

Królowa Wiktoria panowała 60 lat, a był to w dziejach Anglii jeden z najbarwniejszych, najbogatszych i najbardziej brzemiennych w historyczne wydarzenia, okresów. Wtedy narodziło się nowoczesne Imperium Brytyjskie, wtedy też utwierdziły się współczesne formy życia angielskiego. Taki okres daje reżyserowi ogromne pole do popisu, ale zarazem stawia go w obliczu wielkich trudności i niebezpieczeństw.

Reżyser filmu historycznego z epoki wiktoriańskiej miał przed sobą dwie metody odmalowania tak długiej i bogatej epoki: syntezę albo ilustrację fragmentaryczną. Droga pierwsza, ogromnie trudna, mogłaby prowadzić do stworzenia filmu historycznego w wielkim stylu — droga druga, bez porównania łatwiejsza, graniczyłaby z płycizną przemijającego reportażu. Reżyser „Królowej Wiktorii" obrał niestety raczej drugą drogę. Fragmenty, które nam pokazał (miłość Wiktorii i ks. małżonka Alberta, świetna scena opozycyjnej mowy Disraeli‘ego w parlamencie, rozruchy socjalne, pierwsza kolej żelazna i kolorowe zdjęcia z brylantowego jubileuszu królowej i in.) są może same w sobie ciekawe i miejscami efektowne, nie składają się jednak na harmonijną całość.

Zadziwia też, nawet przy uwzględnieniu podkreślonego już fragmentarycznego charakteru filmu, całkowite pominięcie okresu rządów Disraeli‘ego. A był to przecież najciekawszy okres epoki wiktoriańskiej, mogący dostarczyć bogatych efektów filmowych, zarówno w płaszczyźnie historycznej (Disraeli obdarzył Wiktorię cesarską koroną Indii), jak i psychologicznej (stosunek Disraeli‘ego do królowej, w którym sunek Diesraeliego do królowej, w którym nie brak było elementów miłości). Czyżby ostentacyjne pominięcie Disraeliego miało być podyktowane oportunistycznymi względami na modne w pewnych krajach nastroje polityczne?

W ciasnych ramach możliwości, dostarczanych przez reżysera, gra Anny Neagle (rola tytułowa) i Adolfa Wohlbrücka (ks. Albert v. Roburg-Gota) były na poziomie.

ATLANTIC — „ICH STU I ONA JEDNA"

Ich stu — to pozbawieni pracy muzycy; ona jedna, to córka bezrobotnego puzonisty, uroczy podlotek, u którego naiwność życiowa współzawodniczy z wielką przedsiębiorczością i wiarą w ludzi. Ta naiwna w naszych czasach wiara posłużyła za niewyczerpane źródło świetnych sytuacji humorystycznych, grupujących się wokół pomysłu stworzenia nowej orkiestry symfonicznej, złożonej z bezrobotnych muzyków.

W filmie tym, nazwijmy go neo-amerykańskim w stylu rooseveltowskim. przebija się niewątpliwie zagadnienie bezrobocia, ale byłoby przesadą przypisać mu głębsze tendencje socjalne. Kwestia bezrobocia jest raczej traktowana na wesoło i po nawinemu. Wartość filmu, jak zresztą wielu wyświetlanych ostatnio w Warszawie, spoczywa w płaszczyźnie muzycznej. Podziwiamy światowej sławy dyrygenta i kompozytora, Polaka, Leopolda Stokowskiego, oraz jego orkiestrę symfoniczną, która wykonywa m. in. symfonię Czajkowskiego i Rapsodię Liszta.

Gra młodej gwiazdy ekranu, znanej już nam z „Penny", Deanny Durbin. pełna temperamentu i naturalności, głos — prześliczny. Adolf Menjou dobrze odegrał rolę bezrobotnego muzyka. Leopold Stokowski imponował swą charakterystyczną postacią i bogactwem mimiki w czasie dyrygowania orkiestrą. Sytuacje humorystyczne liczne i mniej banalne niż w przeciętnym filmie amerykańskim.

Notatki bibliograficzne

Na marginesie wspomnieć należy o wydanej ostatnio, interesującej, rzeczowo i lapidarnie napisanej broszurze Edwarda Wrockiego p. t. „Paląca sprawa — o potrzebie utworzenia miejskiej centrali biblioteczno - archiwalno - muzealnej w zakresie materiałów muzycznych i teatralnych".

Edward Wrocki, znany zbieracz muzykaliów, posiadacz wspaniałych i cennych zbiorów, ostatnio biliotekarz Opery warszawskiej, nawołuje do utworzenia w Warszawie instytucji, która otoczyłaby opieką pamiątki, dokumenty i wszelkie materiały z dziedziny muzyki i teatru.

Z braku takiej instytucji, materiały te masowo giną i ulegają zniszczeniu. Autor podkreśla, że najgorzej jest z muzykaliami; los ich bowiem „jest naprawdę tragiczny, gdyż jak stwierdzono, zaledwie dziesiąta część tych unikatów zachowuje się dla potomności i to raczej drogą przypadku".

Zrozumiałe, że przed wojną, władze zaborcze nie chciały dbać o to, co może być przecież dowodem żywotności pracy w Polsce. Obecnie czas najwyższy, by ratować tę zaniedbaną dziedzinę.

Instytucja taka, oparta z jednej strony o miejski fundusz kulturalny, zdrugiej strony przy obrocie miliona franków, z czego popomocy instytucji kulturalnych, które w ten czy inny sposób mają jakiś związek z muzyką lub teatrem — spełniać powinna rolę zarazem biblioteki, archiwum i muzeum w tym zakresie.

Po pierwsze, chroniąc od zniszczenia to, co dotąd pozostaje bez opieki, po drugie, komasując to, co jest rozsypane po różnych zbiorach jak np. Krasińskich, Potockich, Zamoyskich i t. d., gdzie zazwyczaj materiały te leżą odłogiem i nikt się nimi nie interesuje, jako-że ci, którym by one mogły być potrzebne w pracy, nawet nie wiedzą o ich istnieniu — instytucja taka, w charakterze centrali,ześrodkowującej zbiory, stałaby się skarbnicą eksponatów, nie tylko ciekawych dla szerszej publiczności, lecz przede wszystkim pożytecznych dla historyków, naukowców i badaczy, a także wartościowych dla kultury i dobra ogólnego.

Apel p. Wrockiego musi uznać chyba każdy, komu sprawy kultury i sztuki nie są obce.

Obyż słuszne te enuncjacje trafiły do przekonania czynników miarodajnych i jaknajprędzej doczekały się realizacji.

J.E.H.

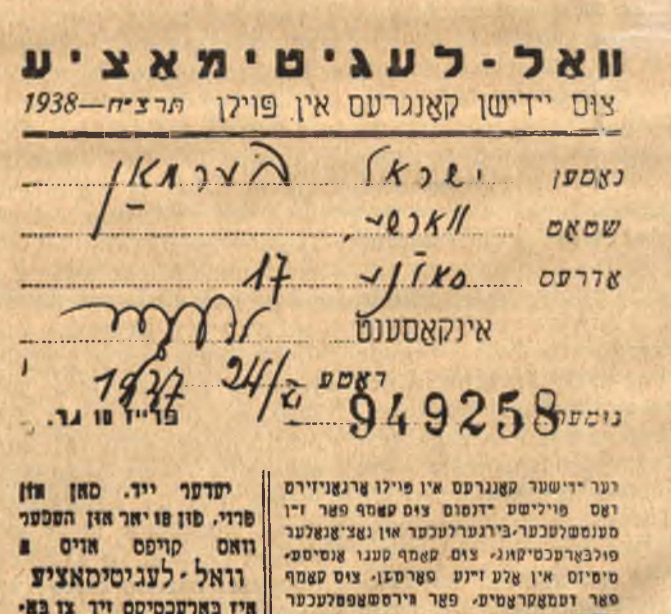

וואל-לעגיטימאציע

צום יידישן קאנגרעס אין פוילן 1938—תרצ״ח

נאמען

שטאט

אדרעס 17

אינקאסענט

דאטע

נומער 949258

פרייז 10 גר.

וואל-לעגיטימאציע

Komitet Organizacyjny Kongresu Samopomocy Żydowskiej w Polsce.

ארגאניזיר-קאמיטעט פון קאנגרעס פאר יידישער זעלבסט-הילף אין פוילן

קויפט און פארשפרייט די וואל-קארטן צום יידישן קאנגרעס אין פוילן!

Dr. med. M. SALAMON
wszelkie analizy lekarskie
Obecny adres: Warszawa, Leszno 28 (róg Karmelickiej) tel. 11.54-92.

Dr. med. S. F. Cytter
wszelkie analizy lekarskie
Warszawa, Nowolipki 24.
Tel. 12-14-67.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.
Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o.
Red.-odp.: A. KLARMAN.
Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM
„Drukarnia Lekarska", Sp. z o. o., Warszawa, Leszno 56, tel. 11.98-73.